EWA CURIE — MAURYCY MAETERLINCK

TYGODNIK POLSKI

THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:
Ewa Curie — Zdzisław Czermański — Zenon Kosidowski — Jan Lechoń — Irena Lorentowicz — Maurycy Maeterlinck — Anatol Muhlstein — Stefan Ropp — Stanisław Strzetelski — Józef Wittlin — Kazimierz Wierzyński

Nr. 1. Rok I. Nowy Jork, 10 stycznia, 1943 — New York, N. Y., January 10, 1943 Cena 10ct.

OD REDAKCJI

W czasie, gdy nie może być innej inicjatywy niż niezbędna, innych potrzeb niż konieczne, "Koło Pisarzy z Polski" przystępuje do wydawania "Tygodnika Polskiego", w przekonaniu że służyć będzie przez to właśnie niezbędnym duchowym potrzebom Polaków w Ameryce i sprawie polskiej.

Rodzi się "Tygodnik Polski" przedewszystkiem z potrzeby wypowiedzenia się, z potrzeby twórczości pisarzy, publicystów i artystów polskich, tak dziś licznych w Ameryce, a których rozproszone usiłowania nie dały dotąd napewno miary tego czem jest ta emigracja.

Dać najlepiej poznać pracę pisarzy, ludzi nauki i artystów, tworzących wśród jakże niełatwych warunków, oddalonych od najzdrowszych rodzimych źródeł twórczości, dobijających się posłuchu poprzez tyle przeszkód dziś zresztą zrozumiałych i nieraz nie do usunięcia, pobudzić, ułatwić w Ameryce twórczość polską, która musi dziś zastąpić dla świata głos naszej kultury, zdławionej w kraju — oto nasze pierwsze zadanie.

Jest ono wielkiej wagi dla sprawy polskiej. Twórczość polska nie była bowiem nigdy jakąś oderwaną, samą dla siebie istniejącą częścią życia polskiego, ale jak twórczość żadnego może innego narodu— głosem jego najgłębszych dążeń, wyrazem jego duchowej jedności; była też ona zawsze z największą jego korzyścią przewodnikiem jego losów, tem czujniejszym, tem bardziej nieugiętym, ufnym w przyszłość, im te losy były bardziej tragiczne i krwawe. Twórczość polska i żołnierz polski, piękno i bohaterstwo były zawsze naszymi obrońcami przed światem, naszem prawem do tego miejsca na świecie, o które znów dziś walczymy; tak jak żołnierza polskiego, i twórczości polskiej nie może zbraknąć w tej walce, gdziekolwiek ona się toczy.

"Tygodnik Polski" służyć będzie jedności polskiej w przekonaniu, że jedność ta oparta o zrozumienie wspólnego dobra, które stoi ponad wszystkimi dzielącymi nas na codzień i mającymi nas jeszcze dzielić w przyszłości względami, że jedność ta jest niezbędna — i co najważniejsze — możliwa.

Nie może ona rodzić się ze ślepego posłuszeństwa i bezwoli, które są przecież jednymi z najcięższych winowajców tej strasznej wojny, nie będzie ona nigdy trwała jeśli oprzemy ją o ustępliwość wynikłą ze słabości, o pragnienie zgody za wszelką cenę. Ale musi ona zaświadczyć o naszej naprawdę humanitarnej i naprawdę demokratycznej kulturze, musi ona zapanować między Polakami jako poczucie tego, co jest trwałe, a co przemija, co jest ważne a co najważniejsze, co jest dobrem ogólnem a co prywatą, jako stały wysiłek naszych sumień, aby z rozbieżnych opinji tę wybrać, która sięga najgłębiej, najmądrzej w dobro narodu.

"Tygodnik Polski" chce być kuźnią myśli kującą kształt przyszłej Polski jeszcze nieznany i który stworzony być może tylko przez wyczucie najgłębsze jej potrzeb materjalnych i jej genjuszu. Odkrywać te potrzeby, odczuwać ten genjusz — oto zadanie które żąda lojalnej, otwartej rozmowy między Polakami.

Że Polska nie może być niczem umniejszona, że przeciwnie, musi zyskać nowe, lepsze warunki bytu niezbędne dla jej i Europy pokoju — to oczywiście nie może podlegać dyskusji, jak też nie może być wątpliwości, że przyszłość Polski leży na jej tradycyjnej drodze twórczego współudziału w życiu świata, na współżyciu polskiej myśli politycznej, polskiej twórczości z innymi narodami, na szlachetnem z nimi współzawodnictwie. Dwie tradycje Polski, z których jedna dała Polsce największą siłę, druga największe znaczenie duchowe — tradycja złotego wieku i tradycja Mickiewicza były właśnie w to ogólne nietylko polskie dobro wpatrzone.

"Tygodnik Polski" chce być wyrazem tego jednocześnie arcypolskiego i humanistycznego dążenia.

Będziemy starali się przedewszystkiem wzmocnić wśród Polaków znajomość kultury i dążeń wielkiego kraju, który nam daje gościnę, któremu tak ważne w osiągnięciu zwycięstwa przypada przeznaczenie, który dla tego dzieła tyle już uczynił i którego związki z Polską będą tak ważne w przyszłości; wzajemne nasze poznanie jest oczywiście pierwszym warunkiem ścisłości i mocy tych związków.

Roczna znajomość pisarzy z Polski z rodakami z Ameryki, zetknięcie zarówno osobiste jak poprzez książki i artykuły, dowiodły wbrew krakaniom pesymistów, że pisarz polski i Amerykanin-Polak mogą się doskonale zrozumieć, nawzajem od siebie uczyć, że pragną tej nauki i tego zrozumienia.

Będziemy więc starali się mówić jak najobszerniej o kulturze polskiej w Ameryce, o jej pracownikach w przeszłości i obecnych, o historji polskiego wychodźtwa; będziemy też szczęśliwi jeśli "Tygodnik Polski" pobudzi do pisania nieznane polskie talenty w Ameryce.

Myślą zwróceni do naszego kraju i do naszego wojska, rozpoczynamy pracę z pragnieniem, aby według najlepszych sił służyć Polsce.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

ŚPIEW W NOCY

(OPOWIADANIE)

Wojsko polskie w Kanadzie tworzyło się w dwu miejscowościach, w Windsor i Owen Sound. Z Windsor widać Detroit, wysokie spiętrzenia niebotyków, rzekę wielką jak jezioro. W nocy płoną naprzeciwko góry oświetlonych okien, możnaby fantazjować, że to jakieś nowe Black Hills rzeźbione światłem w ciemności. W Owen Sound chodzi się wcześnie spać, ciche miasteczko nie miewa żadnych przywidzeń. Nasi żołnierze stawali nad Georgian Bay, wodzili okiem po lesistych wzgórzach i miękkich kotlinach, jeden przybysz z Polski odezwał się do mnie:

— Gdyby nie ta zatoka, można pomyśleć że jesteśmy u nas, gdzieś na Podkarpaciu.

Wskazał ręką na rozległe pochyłości i lasy w liniejącym, wiosennym śniegu; może miał rację.

W Windsor trudno było znaleźć coś z krajobrazu Polski. Wypatrywana wszędzie gdzie znalazło się dwoje polskich oczu, tu kryła się tylko w ludziach. Ale zdarzyło się, że właśnie w tem mieście pojąłem kto wie czy nie najgłębszą prawdę mego kraju.

Stało się to pod wpływem gawęd wojennych, które prowadziłem z generałem Duchem. Może on dużo powiedzieć, zna różne wojska i wojny. Podczas kampanji w Polsce bił się po raz czwarty w życiu, we Francji po raz piąty. Mundur generalski nosi młody jeszcze człowiek, który w Polsce wojował jako pułkownik. Wstąpił do wojska gdy miał lat siedemnaście. Niewysoki i krępy, uśmiecha się chętnie, rzemiosło wojenne nie wyniszczyło w nim pogody. Tornistru z przygodami nie nosi oczywiście na pokaz, ale jeśli go otworzy, niema nic prostszego niż te wspomnienia.

Raz zaszedłem do generała na szachy ale partja jakoś się nie kleiła. Rozmawialiśmy o tem, że w świecie nazywają nas niepoprawnymi romantykami i skarżą się często, że nas trudno zrozumieć. Generał uważał cechy wywołujące ten pogląd za bardzo dla nas istotne, ale niełatwe do wytłumaczenia obcym, bo często niepojęte dla nas samych. Rychło zapędziliśmy się w taki gąszcz tego tematu, że odsunęliśmy od siebie szachownicę, na której figury straciły oddawna zdolność ruchu, i gospodarz opowiedział mi o pewnem zdarzeniu, odtąd dla mnie niezapomnianem. Rzecz tyczyła się kampanji w Polsce.

*

— Teraz ta wojna — opowiadał — jest wojną pięciu kontynentów i siedmiu mórz jak się o niej mówi. Wówczas była wojną samotnych Polaków. 22-go września 1939 roku od zachodu parli na nas Niemcy, od wschodu Rosjanie. My byliśmy w środku w Lubelszczyźnie; przedzieraliśmy się na południe. W takich sytuacjach niema o co walczyć, wtedy jednak wszystko było nam w głowie tylko nie kapitulacja. Już to może wydać się komuś niezrozumiałe, ale przecież tak było. Tego dnia zdobyliśmy zapomnianą przez Boga miejscowość, pod nazwą Miasteczko. Leży ona na południowy wschód od Zamościa. Zaraz wieczorem uderzyliśmy na las, który zaczynał się na najwyższem wzniesieniu okolicy. Powinienem powiedzieć — na skraj lasu, bo tylko tyle mogliśmy dostrzec przed sobą. Z mapy wiedziałem, że schodzi on lekką spadzizną na południe, ku wsi Barchaczów. Ten Barchaczów utkwił mi w głowie jak gwóźdź. Wraz z Barchaczowem zdobywaliśmy drogi, zdobywaliśmy przejścia na Tomaszów Lubelski, na Krasnobród, wszędzie, w świat. Bez Barchaczowa groziło nam wyduszenie między dwiema ścianami.

Uderzyliśmy więc na skraj lasu i wzięliśmy go szturmem. Była już noc, gdyśmy się tam zaszyli. Otrząsnęliśmy się z piachu, kto mógł zasypiał odrazu. Biliśmy się już dziesięć dni, zwykła kolej polskiej wojny. Mieliśmy przed sobą 8-ą dywizję piechoty niemieckiej, częściowo zmotoryzowaną, z oddziałami rozpoznawczymi czołgów. Wyciskaliśmy ją z trudem z każdego zakątka, ale jakoś pchaliśmy się naprzód.

Noc przeszła spokojnie, zaraz na drugi dzień, 23-go, zaczęliśmy dalsze natarcie. Chcieliśmy przedrzeć się poprzednim impetem, nie mogliśmy jednak przełamać ognia Niemców. Atak utknął, trzeba było zalec w lesie i czekać aż nadciągną sąsiednie oddziały, z prawa i z lewa. Minął na tem cały dzień, nadszedł 24-ty września. Postanowiono wówczas uderzyć całym frontem. Atak zapowiedziany był z lewego skrzydła. Miało ono zacząć natarcie o dwunastej w południe i kierować się na leżące przed niem miasteczko Komarów.

Tymczasem ze sztabów doszły nas słuchy, że od wschodu nadciągają Rosjanie i są od nas trzydzieści kilometrów. Poderwało to szeregi od dowódców do żołnierzy, każdy myślał: uderzać, uderzać czemprędzej. Obszedłem moje pozycje, a miałem wtedy pod sobą dywizję, wszystko znalazłem w porządku. Zwłaszcza artylerja pracowała znakomicie. Było tego sporo. Trzy dywizjony lekkie i dywizjon ciężki — to jest coś. Dwadzieścia cztery działa biły z pierwszej linji, reszta z ukrytych stanowisk.

Czekaliśmy aż lewa strona zacznie atak ale natarcie nie nadchodziło. Za to z prawego skrzydła dostałem meldunek, że Niemcy się ruszyli i uderzają na nas. Pierwsze linje atakujących rozproszyły się pod ogniem lekkiej artylerji, która biła nawprost kartaczami. Mimo to Niemcy zaczęli przenikać do lasu, skrzydło się wygięło, trzeba było przejść do przeciwnatarcia. Ludzie nie mogli już wytrzymać napięcia. Mój telefonista sztabowy, kapral, zerwał się od aparatu i stanął na baczność: "Ja pójdę do ataku, proszę mi pozwolić, panie pułkowniku!" Nasi szturmowali o jakie sto, dwieście kroków od mego miejsca postoju i odrzucili Niemców jednem pchnięciem. Kapral wrócił zlany potem i przyniósł ze sobą niemiecki erkaem. Nastąpiła chwila uspokojenia, choć ogień trwał dalej i artylerja nie zaprzestała działania. Zaczęło się znów to denerwujące czekanie, nasi sąsiedzi z lewej strony nie dawali znaku życia. Dwunasta minęła już dawno.

O drugiej trzydzieści spróbowaliśmy na własną rękę. Uderzyliśmy na Niemców, początkowo szło dobrze, potem coraz trudniej. Nie można ich było wytrzebić z gęstwy leśnej. Po dwuch godzinach natarcie ustało. Barchaczów szedł coraz bardziej w cenę. Co robić, myśleliśmy? Nie przybliży nas tam przecież ten kontredans: raz oni naprzód a raz my! Napięcie stało się nie do wytrzymania.

Dokończenie na str. 2-ej



Rys. Irena Lorentowicz

W sprawie naszych granic wschodnich Rada Narodowa stoi na stanowisku traktatu Ryskiego z 1920 roku. Jeśli chodzi o stosunek do Niemiec Rada Narodowa stwierdza, że podstawową zasadą polityki polskiej jest dążenie do zabezpieczenia Europy przed nową agresją niemiecką. W tym celu Polska powinna otrzymać gwarancję bezpieczeństwa swych granic oraz pokojowe warunki gospodarczego i kulturalnego rozwoju przez uzyskanie szerszego dostępu do morza oraz przesunięcia na Zachód, skorygowanie i skrócenie swych granic z Niemcami.

Celem zapewnienia trwałego pokoju Europy i swobodnego rozwoju narodów europejskich konieczne jest stworzenie w środkowo-wschodniej Europie unji narodów, złączonych wspólnymi interesami i celami.

Uchwała Rady Narodowej R. P. z dn. 2 grudnia 1942, w Londynie.

JAN LECHOŃ

WIECZÓR W SALAMANCE

Jeszcze wczoraj ostatnie żegnały mnie wonie
Lata, co lekkim wiewem róż rabaty muska,
I słuchałem fontanny, co w klasztorze pluska,
I widziałem znajome, załamane dłonie:
Widzę Burgos jak stary grobowiec uśpione
I księżyc jak trup srebrny, co stał w murów blance
I nagle oto dzisiaj wieczór w Salamance
Pojąłem że to prawda. Że wszystko skończone.
A jednak nawet teraz na dalekim bruku
Jakby stolic gnębionych aż tu doszłe dreszcze,
Czujesz drżenie podziemne i łudzisz się jeszcze
Że mówi ktoś do ciebie w dział milknących huku.
Ręką sunąc po liściach, co nie znały rosy,
Śnisz cienie i ten strumień, co się wije w jarze,
Nad którym o tej porze siedzi chłopiec bosy
I gra prostą piosenkę na wiejskiej fujarze.
Oto dym długą smugą podniósł się z ogniska
I widzisz swe dzieciństwo tym dymem zasnute;
Dziewuchy motykami biją w kartofliska
I czujesz wonne zioła: lawendę i rutę.
Jakże się to te wszystkie polne kwiaty zwały?
Te drzewa co wieczorem za oknem szumiały?
Gdzież się owe podziały zapomniane krzewy,
Co się gięły i chwiały śród letniej ulewy?
To właśnie twoja ziemia gdzieś chciał spocząć wkońcu
Pod liśćmi zbutwiałymi, co pachną tak mocno.
Ktoś cię woła: "Poczekaj! Przetrwaj porę nocną
A jutro ujrzysz Rynek i Wawel we słońcu!"
Ileż to razyś patrzał, gdy, zdało się, płoną
Dachy łuną zachodu zalane czerwoną.
I wtedy z Panny Marji, z pod złotej korony
Dźwięk zrazu przyciszony starego hejnału
Coraz czystszy, pełniejszy szedł na wszystkie strony
A ty milcząc, słuchałeś jak ginął pomału.
Jak cicho! Nikt nie przejdzie przez puste krużganki
I żadna się nie bieli koronkowa kreza
Ani żadna Infantka w stroju z Velasqueza
Nie zjawi się na starych murach Salamanki
I tylko powiew nocy, co cicho się zbliża
Zaledwo pożegnane przypomniał platany
I patrzysz na plac pusty księżycem oblany
Tym samym, który płynie po niebie Paryża.
Co teraz śni to niebo, co marzą te chmury?
Kto idzie pośród parku aleją uśpioną?
I jakie teraz burze wstrząsają twe łono,
O miasto, któreś było jak siła natury?
Znów wraca zapach wiosny i siła twych czarów,
Jak kiedyś moje serce nanowo odmienia.
Zrzuć z głowy swojej popiół spalonych sztandarów,
Czy słyszysz tę muzykę? I moje westchnienia?
Pójdź ze mną w świat prawdziwy, na zawsze umarły,
Patrz! Kwiaty z drzew otrząsa wiosenna ulewa
Małego się hotelu drzwi nagle otwarły
A z okna naprzeciwko walc stary rozbrzmiewa.
Niech tylko cień ten w oknie zamglony popieszczę,
Co teraz ponad lampą gasnącą się słania.
"Nie dałaś mi na jutro godziny spotkania
Czy będziesz o mnie myśleć? Spotkamy się jeszcze?"
I nagle dzwon jak w studnię o ciszę uderzył
I tylko palma cicho szeleści jak pióro.
O! Weź mnie w swe ramiona, milcząca naturo,
Ażebym znów pokochał i znowu uwierzył!

EWA CURIE

Sześć spotkań z polskiem wojskiem

Kiedy byłam zeszłej zimy w Sowietach, ilekroć mogłam spędzałam czas w ambasadzie polskiej. W Kujbyszewie, w małym domu przy ulicy Czahajewskiej, ambasador Stanisław Kot powitał mnie jak członka rodziny. Mogłam tam mówić po polsku, zamiast przeraźliwie kaleczyć język rosyjski. Ilekroć przekraczałam próg tego domu wchodziłam w świat niezwykły, tragiczny. Za wyjątkiem sztabu ambasady każdy prawie Polak, którego tam spotykałam był w mundurze, prawie każdy był przez długie miesiące więźniem, zanim po wstąpieniu do tworzącej się na terenie sowieckim nowej armji polskiej stał się sprzymierzeńcem. Prawie każdy był w niewoli rosyjskiej od czasu inwazji armji czerwonej, która w 1939 roku zajęła wschodnie ziemie Polski i zwolniony został dopiero w kilka tygodni po wybuchu konfliktu niemiecko-rosyjskiego.

Pewnego dnia do tych ludzi osiedlonych w odległych obozach doszła wieść o tworzeniu na terenie sowieckim oddziałów polskich. Niektórzy wędrowali miesiącami po rosyjskich drogach, ażeby dotrzeć do punktów werbunkowych i zaciągnąć się do szeregów. Nie dbając o jakiekolwiek usprawiedliwienie czy tłumaczenie, jakich mogliby przecież żądać od Rosjan z powodu niedawnej przeszłości, powiedzieli poprostu do sowieckich przywódców:

— Dajcie nam broń, żebyśmy mogli bić Niemców, żebyśmy pomogli uwolnić Polskę.

Poraz szósty od początku tej wojny zetknęłam się z armją polską. Najdziwniejsze, że jedyne miejsce, gdzie jej nie widziałam, była Polska. Nie byłam w 1939 r. świadkiem rozpaczliwej walki z najeźdźcą, prowadzonej przez Polaków na ich własnej ziemi, nie byłam świadkiem niezapomnianej obrony Warszawy, gdzie dotychczas mieszka kilka osób z rodziny mojej Matki. Nie widziałam jak unicestwiono pozbawioną kierownictwa armję polską. Ale w kilka zaledwie tygodni po klęsce Polski na moich oczach zdarzył się pierwszy cud: jeden za drugim, tysiące polskich oficerów i żołnierzy przybyło do Francji po przezwyciężeniu niewiarogodnych trudności, po przebiciu sobie poprzez wrogą Europę drogi do kraju, w który wierzyli. Mój kuzyn, Władysław Skłodowski, który przedostał się najpierw na Węgry, zjawił się nagle w Paryżu. Zaciągnął się on do nowosformowanej armji polskiej, która w krótkim czasie urosła z dwuch do czterech dywizji. Przeszkolenie oddziałów odbywało się w Coetquidan, w Bretanji. Zaledwie kilka miesięcy później Polska Brygada w francuskich mundurach płynęła na francuskich okrętach do Norwegji.

Słoneczny miesiąc czerwiec przyniósł klęskę Francji, klęskę która zaskoczyła Polaków jeszcze bardziej niż Francuzów. Polacy bowiem mieli jeszcze w pamięci słowa Mickiewicza: "jabym na Francuzów spuścił się w czasie wojny jak na czterech tuzów..." Ciągle jeszcze dawne echo budziła ich sercach strofa hymnu narodowego: "Dał nam przykład Bonaparte jak zwyciężać mamy..."

Zdezorjentowanie Polaków trwało jednak niedługo. Polacy zadali sobie poprostu pytanie: "Gdzie będziemy walczyli teraz?" — i udali się do Anglji. Pomagali nawet wydostać się z Francji tym Francuzom, którzy nie zważając na zawieszenie broni w Compiegne chcieli walczyć dalej. W tych dniach klęski pewien polski oficer pożyczył swój skórzany płaszcz kapitanowi Jean Becourt-Foch, wnukowi Marszałka Focha i dopomógł mu dostać się na pokład polskiego statku; młody kapitan ukrywszy swój uniform pod pożyczonym płaszczem, zdołał ujść kontroli policji francuskiej, odpłynął z Saint Jean de Luz do Anglji i stanął w szeregach generała de Gaulle'a.

W sierpniu 1940 udałam się do Szkocji, ażeby odwiedzić polską armję poraz drugi odrodzoną. Generał Władysław Sikorski dokonywał tego dnia przeglądu dwóch pierwszych batalionów. Niektórzy żołnierze nosili jeszcze francuskie mundury, inni mieli już angielskie mundury polowe. Pierwszym, którego spotkałam przechodząc przez obóz był mój kuzyn; jemu również udało się wydostać z Francji. Kilka tygodni później w czasie bombardowania Londynu, zwiedzałam lotniska R. A. F'u, z których wylatywały polskie eskadry myśliwskie, ażeby wraz z eskadrami angielskimi bronić miasta. Kiedy opuszczałam Anglję w styczniu 1941, polscy lotnicy strącili właśnie czterechsetny z rzędu nieprzyjacielski samolot. Objeżdżając w 1941 i 1942 roku pola bitew wszędzie spotykałam polskich żołnierzy, którzy powiedzieli sobie, że niema takiego miejsca na świecie, gdzieby nie można było walczyć za Ojczyznę.

Dr. Goebels nazwał ich lekceważąco "turystami generała Sikorskiego". Spotkałam polskich lotników, pilotujących samoloty wojenne ze Złotego Wybrzeża do Chartumu, widziałam Polaków w Nigerji, w Egipcie, w Libji; zetknęłam się z dzielnymi polskimi obrońcami Tobruku. I teraz w Rosji znów Polacy, wywołani z nicości, wyszli z monotonnej ciszy sowieckich obozów jeńców.

* * *

Zaprzyjaźniłam się w Kujbyszewie z wielu Polakami, służącymi w wojsku. Co mnie najwięcej uderzyło w rozmowach z nimi, to była jednomyślność ich decyzji, identyczność ich myśli. Rozmawiać z jednym z nich, to to samo, co mówić ze wszystkimi, z każdym z osobna. W czasie pokoju, moi nawpół rodacy zdolni byli do popełnienia największych politycznych głupstw. Ale kiedy zjawiło się niebezpieczeństwo, kiedy przyszła wojna i inwazja, patrjotyzm prowadził ich jak najbardziej niezawodny kompas, właściwą drogą ku wielkości. Wojna nadała im prostotę i bohaterstwo, taksamo jak Rosjanom. W Sowietach, tak jak w Libji i w Szkocji, mogłam ocenić ile może zdziałać dla chwały swego zajętego przez wroga, ujarzmionego kraju, mała, ale dzielna i zdyscyplinowana armja. Mogłam zaobserwować jak Polacy zdobywali dla swej Ojczyzny coraz poczestniejsze miejsce wśród Sprzymierzonych, chociaż niema w tej chwili ani jednej piędzi polskiej ziemi, któraby była wolna.

W Rosji wśród Polaków uczyłam się także niezwykłego rodzaju powściągliwości. Ludzie na których spadło tyle ciosów, którzy to wszystko przetrwali i którzy z własnej woli by walczyć z Niemcami stali się sprzymierzeńcami swoich byłych ciemiężców, unikali rozmów z przygodnymi znajomymi na temat swoich niedawnych nieszczęść. Wydaje mi się, że poruszanie tych spraw uważaliby raczej za niedyskrecję. Uznali oni siebie za sędziów najbardziej powołanych do osądzenia, jaki powinien być teraz stosunek Polaków do Rosji. Postanowili milczeć. Postanowili walczyć ramię w ramię z żołnierzami czerwonej armji, jeżeli to tylko będzie możliwe, i zachować całkowitą lojalność wobec nowych towarzyszy broni. Oczekiwali oni od swych rodaków, którzy nie przeszli przez takie ciężkie próby, jakie były ich udziałem, ażeby okazali tę samą godność i siłę.

Pewnego dnia poznałam w ambasadzie młodego oficera polskiego w angielskim mundurze polowym. Nazywał się Grzybowski. Służył w wojsku od września 1939 roku. Jego oddział, cofając się przed nacierającymi Niemcami wpadł później w ręce Rosjan. Zesłano go do Wołogdy w północnej Rosji, a potem przenoszono czterokrotnie z jednego obozu do drugiego W obozie, gdzie przebywał najdłużej, znalazło się wraz z nim 400 oficerów polskich. Nie uważa on, aby go w tym obozie źle traktowano. On i jego towarzysze niewoli urządzali koncerty i przedstawienia amatorskie podczas długich bezczynnych miesięcy i nie cierpieli zbytnio.

Przyszedł dzień, kiedy Hitler zaatakował Sowiety. Osadzeni w obozie jeńców oficerowie polscy mało nie oszaleli z radości, rzucali się sobie na szyję. Nie myśleli wtedy o tem, że oto Rosja może być ukarana za krzywdy im wyrządzone, ale cieszyli się nadzieją klęski Hitlera. "Niemal odrazu" opowiadał Grzybowski "nasze stosunki z Rosjanami uległy poprawie. Codzienne wiadomości przynosiły tę samą troskę im, co nam, chociaż byliśmy jeszcze jeńcami."

Młody człowiek wkrótce potem został uwolniony i wstąpił do 6-tej dywizji polskiej, która przed wysłaniem na południe odbywała ćwiczenia w okolicy Buzułuku. Opowiadał mi, w jak ciężkich warunkach była formowana nowa armja polska. Dwa tysiące żołnierzy i oficerów polskich grupy mieszkało w namiotach podczas niezmiernie surowej zimy. Rozkopywano śnieg i zamarzniętą ziemię. Do głębokich czasem na dwa metry dołów spuszczano namioty, chroniąc je w ten sposób przed lodowatym wichrem. Grzybowski i jego towarzysze niewoli nauczyli się rozpalać ogień, nie wywołując przytem pożaru w namiocie. Nauczyli się myć i golić na mrozie, a trzeba to było robić niezwykle szybko, żeby woda w miedniczy nie zamarzła. W obozie obowiązywała wszystkich surowa dyscyplina i bardzo twarda mustra. Byli jeńcy poddali się jej z entuzjazmem. Jedynem marzeniem oficerów i żołnierzy było dostać się na front, w Rosji czy gdziekolwiek indziej — "na jakikolwiek front prowadzący do Polski". Polska przyciągała tych ludzi jak magnes.

— Jak się to stało, że pan znalazł się w Kujbyszewie? — zapytałam Grzybowskiego.

— O, to długa historja — odpowiedział z nagłem podnieceniem. — Mam dać koncert. Tak jest... Bo widzi pani, ja przed wojną byłem pianistą. Dostałem nawet nagrodę na konkursie Chopinowskim w Warszawie przed kilku laty. Przyszło nam do głowy, że byłoby dobrze, gdyby polskie wojsko w Rosji urządziło własny koncert. Strasznie trudno było znaleźć jakiś możliwy fortepian w tem mieście. Ćwiczę teraz jak szalony, żeby rozprostować zesztywniałe palce. Oczywiście pobyt w pięciu obozach jeńców i mieszkanie w namiocie przy tem piekielnem zimnie nie wpłynęły dobrze na moje ręce. Mam jednak nadzieję, że potrafię dać niezły koncert

Nagle ujrzałam teren, na którym może dojść do zbliżenia między tymi tradycyjnymi wrogami, Rosjanami i Polakami. Trzeba na to było być na wojnie, spędzić prawie dwa ponure lata w obozie jeńców, przejść przez ciężką i twardą szkołę żołnierską na mrozie i śniegu, i teraz wreszcie ćwiczyć bez wytchnienia, żeby dobrze zagrać Scherzo Chopina wobec międzyaljanckiego audytorjum, wśród którego znajdują się i Rosjanie i Polacy. Jest to kategorja spraw, które Rosjanin rozumie. Rozumie, bo sam potrafi walczyć, sam potrafi znosić ciężkie trudy i potem o nich zapominać. Rosjanin umie także nawet w najbardziej tragicznych okolicznościach całem sercem słuchać dobrego koncertu.

Wszystko co dotyczy Polaków w Rosji jest fantastyczne. Fantastyczną rzeczą jest być zaproszonym przez polskiego ambasadora na mszę odprawioną przez polskiego księdza katolickiego, zwolnionego dopiero co z obozu jeńców. Niemniej fantastyczne jest wypożyczenie całego sprzętu kościelnego, potrzebnego do odprawiania nabożeństwa z miejscowej prawosławnej cerkwi przez kujbyszewskiego biskupa Pitirima, którego zresztą dobrze znałam i z którym często rozmawiałam. Fantastyczne jest także to, że odrodzenie armji jednego z najbardziej katolickich krajów w Europie, jedynego całkowicie katolickiego kraju wśród Zjednoczonych Narodów nastąpiło w państwie, gdzie panuje komunizm i ateizm, i że formowaniu się nowych polskich pułków na terenie Związku Sowieckiego towarzyszył tak niezwykły wybuch wiary i żarliwej pobożności. Kilku oficerów opisywało mi te pierwsze msze polowe w obozach wojskowych. Opowiadali, że wychudzeni i wyczerpani życiem więziennem ludzie płakali jak dzieci, zanosili się łkaniem, ponieważ Bóg wyzwalał do nich raz jeszcze swą miłosierną rękę.

W czasie mego pobytu w Rosji czytywałam stale tygodnik "Polska", oficjalny organ ambasady, przeznaczony głównie dla b. jeńców cywilnych i wojskowych. Każdy, kto potrafił czytać także między wierszami, znajdował na tych ośmiu stronicach pełny obraz bohaterskiej tragedji Polski. Całe strony drobnego druku poświęcone były poszukiwaniom zaginionych na terenie Rosji Polaków. Pod nagłówkiem "Poszukiwanie krewnych" pomieszczone było następujące wyjaśnienie:

"Poniższa lista zawiera nazwiska osób poszukiwanych na terenie Z. S. S. R. W nawiasach podane są nazwiska poszukujących." Potem następowały setki nazwisk osób zaginionych. Pod jedną z takich list znalazłam następujące ogłoszenie: "Indje chcą wziąć 500 polskich sierot. Wszelkie informacje dotyczące polskich sierot, z podaniem ich obecnego miejsca zamieszkania, prosimy nadsyłać do ambasady."

Następna strona przynosiła wiadomości z kraju: okrutne relacje o prześladowaniach niemieckich. Wstrząsające zdjęcia były jaskrawą ilustracją wiadomości o rozstrzeliwaniu, wieszaniu, torturowaniu Polaków i o bestjalskiem traktowaniu polskich Żydów. Potem przychodziły wiadomości o polskich żołnierzach w różnych częściach świata pod takimi tytułami: "Nasi lotnicy bombardują Niemcy", "Nasi żołnierze walczą w Tobruku", albo "Z naszej Kwatery Głównej w Londynie". W obłędnym chaosie tej wojny wyglądało to tak, jakgdyby polscy żołnierze rozproszeni byli po całej kuli ziemskiej.

Na środkowych stronach zatytułowanych "Dni Żołnierza" pomieszczony był opis niedawnej wizyty generała Sikorskiego, ilustrowany zdjęciami z przeglądu wojsk. Fotografja maszerującego bataljonu umieszczona po drugiej stronie kolumny opatrzona była podpisem: "Ci, którzy już mają broń, ale noszą jeszcze stare mundury." Fotografja po prawej stronie miała podpis następujący: "Ci, którzy dostali już nowe mundury, ale nie mają jeszcze broni." Umundurowanie żołnierzy składało się według sprawozdania z "angielskich płaszczów z guzikami, ozdobionemi godłem brytyjskiem, do których nie bardzo pasowały olbrzymie okrągłe czapy futrzane — dar innego naszego sprzymierzeńca". Na fotografjach tych pokazany był generał Sikorski, dokonywujący przeglądu broni, wygłaszający mowy oraz rozmawiający z nowo zaciągniętymi żołnierzami i ochotnikami z oddziałów kobiecych. Pisarz sowiecki Ilja Ehrenburg, jeden z najbardziej znanych i najlepszych w Rosji dziennikarzy pomieścił w tym numerze polskiego pisma swój artykuł. Oto w jaki sposób opisywał on swoje wrażenia z zetknięcia się z polskimi oddziałami:

"Spędziłem tydzień wśród Polaków. Widziałem rewję wojskową na śniegu, odbieraną przez generała Sikorskiego. Ludzie, którzy defilowali przed nami, wiele przecierpieli. W ich wzroku odbijały się dramatyczne przejścia: ci ludzie stracili wszystko. Ale z dumą nieśli swoją broń. Widziałem siwych żołnierzy z długimi wąsami oraz młodych chłopców, którzy całowali otrzymany karabin. Tuląc w ramionach tę broń, jak ukochaną kobietę, promienieli od szczęścia."

Pamiętam, co mi powiedział generał Sikorski w Teheranie, w drodze powrotnej z Moskwy:

— Tylko jedno jest ważne: zwycięstwo, które wyzwoli Polskę. Musimy pogrzebać wszystkie nasze bóle, wszystkie nasze starania i gorycze i dążyć jedynie do wygrania tej wojny.

Przypominam sobie wypowiedziane przy innej okazji słowa generała Andersa, dowódcy wojsk polskich w Rosji, dzielnego oficera, osiem razy rannego w czasie wojny z Niemcami, byłego jeńca sowieckiego:

— Wrócimy do Polski. Nie wszyscy do niej dotrą. Ale Polska powstanie.

Te proste słowa wywołały w mojej pamięci tysiączne echa: przecież to logiczny dalszy ciąg wspaniałej polskiej historji. Mało zmienia się dusza Polski w ciągu stuleci. Zniknął już raz z mapy świata ten niezniszczalny kraj, Ojczyzna mojej Matki, potem się odrodził, teraz zniknął znowu. Tak jak pływak, który raz się zanurza, a raz wypływa na powierzchnię. Ale za każdym razem, kiedy Polak mógł odetchnąć i powiedzieć to o myśli, zawsze mówił to samo z wzniosłą nieugiętością. W 1834 roku będzie to Adam Mickiewicz, wołający we wstępie "Pana Tadeusza":

"...Ojczyzno moja — ty jesteś jak zdrowie. Ile cię cenić trzeba, ten tylko się dowie, kto cię stracił..."

W 1863 roku będzie to bohater powstania styczniowego Ludwik Narbutt, który padłszy na polu walki zdołał jeszcze z uśmiechem na ustach wyszeptać:

— Jakże jestem szczęśliwy. Umieram za Ojczyznę...

Dzisiaj wreszcie będzie to polski generał ranny w wojnie z jednym z sąsiadów swego kraju, więziony przez drugiego. Generał ten, odzyskawszy wolność, na wygnaniu, szykując się do dalszej walki dał wyraz swej wiary w tych prostych słowach:

— Wrócimy do Polski.

STEFAN ROPP

Funkcjonalizm polityczny

Tłumaczenie wyjątków z 2-go rozdziału dzieła pt. "The Theory of Political Functionalism".

Byt, jako taki, opiera się na wymianie usług. Byt absolutnie odosobniony — to abstrakcja, którą można tylko **analizować**, nie **realizować**.

Odosobniona istota ludzka (gdyby stan takiej izolacji był możliwy) pozbawiona byłaby wszystkiego co stawia ją na szczeblu człowieczeństwa. Niezdolna ona byłaby do kształtowania idei, tworzenia koncepcyj etycznych, realizowania moralnych wartości. Słowem istota taka nie byłaby ludzka. Jest jednak rzeczą oczywistą, że tego rodzaju **całkowicie** odosobniona jednostka, nigdy w rzeczywistości nie istniała. Z drugiej strony społeczne kontakty indywiduów i grup zdecydowały, w całej pełni, o ich charakterystycznych cechach i wartościach.

Izolowana zbiorowość także podlega zwyrodnieniu tracąc cechy charakterystyczne, leżące u podstaw jej bytu. Dążenie do izolacji wywołuje reakcje szerszego środowiska z racji degenerowania istotnych dla tego środowiska funcji zbiorowości określonej.

Podkreślić należy, że jednostka nie może być również pojmowana jako coś odosobnionego **w czasie**. Jednostka jest produktem tradycji, doświadczenia. Wpływ zbiorowego doświadczenia w zakresie trybu życia, klimatu, pożywienia, odzieży i typów walki o byt — nie ograniczył się do wyciśnięcia li tylko **piętna** tego doświadczenia na jednostce, lecz przyczynił on się do jego **ukształtowania** w całem tego słowa znaczeniu. Jednostka jest zatem w całej pełni wyrazem zbiorowego cierpienia i zbiorowej radości. Hedonistyczne kategorje stanowiące motyw postępowania jednostki są stanowczo wyrazem wpływu, jaki wywarło na nią doświadczenie społeczne. Nie można wyobrazić sobie, że język, zwyczaj, stopa życiowa i wychowanie — są czynnikami, kształtującymi jednostkę jako coś, co posiada odosobnione zalety, wady, charakter, inteligencję, zdolność do usług i nadużyć. Indywiduum jest syntezą asymilowanego przez tradycję doświadczenia, które przypadło w udziale danej zbiorowości, i dlatego głęboko w niem zakorzenione i silnie z jego naturą zrośnięte są przeróżne formy przystosowania, jak instynkty społeczne, fizyczne i psychiczne odchylenia, przesądy, kształtujące naturalne reakcje jednostki na funkcję społeczną. W obecnym stadium naszego rozwoju **różnią** się one od reakcyj w minionych stuleciach. Fakt ten stanowi dowód tego, że doświadczenie wywarło wpływ na funkcję społeczną jednostki, sprawiając, że istota ludzka w sposób naturalny odczuwa, iż środowisko społeczne stanowi część jej własnego indywidualnego bytu i świadomej rzeczywistości.

Środowisko społeczne przenika najgłębsze pokłady dynamizmu jednostki; ta cecha "przenikliwości" indywiduum sprawiająca, że jednostka stanowi podatne pole dla wpływu środowisk społecznych, jest cechą nabytą, coraz silniej w rozwoju ludzkości występującą, cechą o uniwersalnej tendencji. Ona to właśnie stanowi różnicę między człowiekiem współczesnym a jego przodkiem z Neandertalu.

Środek ciężkości przesunął się stopniowo z indywiduum wraz z jego egocentryzmem, ku samozachowaniu grupy, której część to indywiduum stanowi. Ta grupa wzrastała stale, zasięg jej powiększał się tak, że nie tylko ilość osób objętych nią rosła, lecz także zakres jej i róznorodność jej celów. W tej różnorodności brała udział jednostka, korzystając z bogactwa zbiorowego doświadczenia, do którego w poprzedniem odosobnieniu nie miała dostępu. Jednostka w układzie społecznym pomnaża wielokrotnie treść swego istnienia, korzystając z doświadczeń grupy, które stają się w ten sposób zasadniczym warunkiem szczęścia ludzkiego.

Udział w zbiorowem doświadczeniu stał się organicznem jestestwem, zasadniczym elementem codziennego żyica, dążeń i przyjemności współczesnych jednostek cywilizowanych (nie zdających sobie nawet z tego sprawy); ten udział stał się istotną częścią człowieczeństwa, której utrata równoznaczna jest dla indywiduum z nawrotem do zwierzęcego, pogardy godnego stanu. Dla współczesnych jednostek udział w tej górnej sferze, kolejno po sobie następujących rzeczywistości społecznych ma wartość większą od życia: fantastyczność zasięgu, uniwersalność użyteczności, są dla nich źródłem niebywałej regeneracji, zapewnionej tylko tym, których zespolenie z rzeczywistościami zbiorowemi jest organiczne, których asymilacja jest kompletna.

Siła tradycji nie polega tylko na szacunku, jaki mamy dla niej jako dla symbolu i formy. Siła jej, to zdolność do "zawodowego zniekształcenia" oczywiście nie w technicznem, lecz konstruktywnem, syntetycznem znaczeniu. Z tego powodu "tradycja w funkcji" — to kierowniczy czynnik, to uniwersalne doświadczenie, które będzie kształtować spełnianie funkcji oraz wywierać poprzez tę funkcję, wpływ na jej narzędzie: **ludzką naturę**.

W każdej zbiorowości funkcje określone są aktami jednostki. Dynamika ich potęguje się w miarę powtarzania się decyzji. Z grubsza rzecz biorąc, mamy dwojakiego rodzaju funkcje zbiorowe:

I. Funkcje równoległe, czyli harmonizujące postępowanie jednostek.

II. Funcje współ-uzupełniające, czyli różniczkujące czynności ludzkie w danym układzie.

Funkcje równoległe są narzucone lub samo-ustanowione. W pierwszym wypadku celem jest zharmonizowanie sprzecznych izolowanych linij postępowania. W drugim jednostka przeniknięta jest zbiorowymi wartościami, zbiorowymi celami działania. Czy funcja będzie narzucona, czy też samo-ustanowiona, to zależy, jak z tego wynika, od doświadczenia w zakresie funkcji społecznej. Na uzgodnienie postępowania wpływa: **prawo.**

Twórcą prawa jest zbiorowość **zainteresowana** w uzgodnieniu. Zatem analiza **interesu** zbiorowości, różnego w odmiennym układzie, rozstrzyga o **treści** prawa.

Niektóre reguły zachowania mogą być nieodzowne dla istnienia jakiejś małej społeczności i wtedy społeczność ta będzie wyposażona w autorytet narzucenia tych reguł. Inne — mogą mieć istotne znaczenie dla rozwoju całej ludzkości; reguły tej kategorji powinny były znaleźć wyraz w uniwersalnem prawodawstwie, powinna je była narzucić uniwersalna zbiorowość. Jak wiemy, nie stworzono dotychczas takich reguł. Czemś najbardziej zbliżonem do tego rodzaju prawodawstwa są przykazy religij. Ten przykład ujawnia, że jeśli idzie o zbiorowe doświadczenia, to niektóre z nich uświadomiono już sobie, inne — nie. Jasnem jest zatem, że indywiduum musi mieć świadomą **wizję** funkcji jako przedmiotu doświadczenia zbiorowego: dopiero wtedy możliwe będzie stworzenie autorytetu, któremu jej części składowe będą podlegały.

Jeżeli chodzi o funkcje drugiego rodzaju, funkcje współuzupełniające, można stwierdzić, że zróżniczkowanie czynności znajduje swój wyraz w podziale pracy, specyficznym przygotowaniu zawodowem, wychowaniu i technice, jako rezultacie doświadczenia w dziedzinie zbiorowej czynności. W związku z tem powiedzieć można, że liberalizm, panujący dotychczas w cywilizacji europejskiej ujawnia nam, iż narazie koncepcja kolektywna ustępuje pod względem jasności uświadomienia koncepcji uzgodnienia zachowania.

Nowoczesnym odpowiednikiem tego jest gospodarka planowa, której później poświęcimy więcej uwagi.

Nie wykazano dotychczas w dostatecznej mierze wpływu, jaki na uświadomienie sobie funkcyj współuzupełniających wywarł **ustrój demokratyczny.** Mimo to już teraz wystąpić można z twierdzeniem, że demokracja, jako taka, jest buntem jednostki przeciw wtłoczeniu jej w zbiorowy układ społeczny drogą **zewnętrznej** presji, zanim funkcja zbiorowa stanie się świadomą częścią jej **wewnętrznego** układu.

Demokracja jest zatem reakcją przeciw przedwczesnemu funkcjonalizmowi zbiorowemu. Prawo głosu, wpływ szarego człowieka, równość szans, wszystkie te podstawowe hasła demokracji, są wyrazem rewolty indywiduum przeciw narzucaniu mu przez zbiorowy autorytet standaryzowanych pojęć użyteczności społecznej. Z drugiej strony jednak demokracja zmierza do tego, by doświadczenie indywidualne uznane zostało za ważne dla wspólnej sprawy.

Demokracja ma zatem podświadomie dwojakiego rodzaju stosunek do tej podstawowej cechy zbiorowych rzeczywistości: harmonizowania i współuzupełniania funkcyj.

Tak np. totalitarna koncepcja zbiorowych funkcyj, która pojawiła się w Niemczech, Rosji, Japonji, oraz we Włoszech, wywołała renesans indywidualizmu; możemy spodziewać się, że w bezpośredniej przyszłości, skutkiem ogólnej reakcji przeciw totalizmowi, większy nacisk zostanie położony na samo-ustanowionej, demokratycznej funkcji zbiorowej; nacisk ten będzie skierowany przeciw przymusowemu narzucaniu funkcji metodą, stosowaną przez rządy totalitarne.

Użyteczność przymusowa versus użyteczność spontaniczna — oto istota przeciwieństwa materjalizmu i idealizmu. Materjalizm powoduje akcję mechaniczną po linji przepisów, podczas gdy idealizm pragnie ewolucji z wewnątrz — dla udoskonalenia jednostki w zespole. Z tego powodu idealizm reprezentuje moralne wartości—obce materjalizmowi.

Jest rzeczą oczywistą, że doświadczenie w zakresie tych funkcyj nie ma charakteru statycznego. Jest to doświadczenie podlegające ustawicznym zmianom. Jeżeli okaże ono niezdolność do należytego **przystosowania**, wtedy nastąpią reakcje. Reakcje te będą wyrażały się już to w tworzeniu nowych wartości, już to w burzeniu starych. Jeżeli burzenie dokonuje się stopniowo, stanowi ono **ewolucję** społecznego ładu, jeżeli gwałtownie — **rewolucję.**

(Dokończenie w następnym numerze)

JÓZEF WITTLIN

Na sądny dzień żydowski

w r. 1942

Od tylu wieków się toczy gardłowa przeciw nam sprawa
I bez Twojego wyroku odwieczna kaźń nasza trwa.
Powołaj świadków obrony i niech się skończy ta krwawa
Parodja Sądnego Dnia!

Miast pieluch już nam w kołyskach śmiertelne wkładają koszule
Od bicia, bicia się w piersi na kamień stężała nam dłoń.
Jehowo! Zjaw się na Sądzie i wykryj błąd w protokule,
Z nadobłocznego zejdź tronu i sam przed Sobą nas broń!

Już pierwsze gwiazdy zabłysły na Twoich niebios powale,
Starcy zadęli w rogi — płomienie buchnęły im z bród.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Tyleśmy grzeszni, co inni in hac lacrymarum valle
Wygnańcy, synowie Ewy, przeklęty Adama płód.

(Dokończenie ze str. 1-ej)

ŚPIEW W NOCY

(OPOWIADANIE)

Nagle, było to koło piątej, ogień wzrósł niespodziewanie i nadeszła wiadomość, że Niemcy znów atakują na naszem prawem skrzydle. Podchodzili wielką masą, bardzo groźnie. Czułem, że to krytyczny moment: albo — albo. Nie było na co dłużej czekać. "Kto żyje, do szturmu" — zawołałem. Poszło wszystko w ruch: odwody, kompanja saperów, kompanja sztabowa, pluton telefonistów, taboryci, oficerowie sztabu dywizji i ja. Skierowaliśmy się na prawe skrzydło, w samo sedno bitwy. Bagnety, polska specjalność, poniosły ludzi niepowstrzymanie. Artylerja przerzuciła ogień w głąb. Atak naszego skrzydła porwał całą linję. Szturm stał się powszechny. Na moim odcinku odrzuciliśmy Niemców już za pierwszem uderzeniem, potem złamaliśmy wszelki opór i to doszczętnie. Nie wiem kto z nich uszedł cało. Wyczyściliśmy las, z pobojowiska przyniesiono osiemnaście erkaemów z amunicją.

Robiło się już ciemno, gdy wróciłem na dawne miejsce postoju. Po upalnym dniu zerwał się chłodny wiatr, dobry sojusznik po takiej robocie. Wysłałem patrole w głąb terenu, daleko na przodzie przelewał się jeszcze ogień karabinów maszynowych. Nawiązałem łączność z oddziałami, meldunki nie pozostawiały żadnej wątpliwości: zwycięstwo było pełne, Barchaczów zajęty, droga przebita.

Śród zdobyczy mieliśmy lekkie czołgi, samochody pancerne i cały tabor ciężarówek. Przeszło trzydziestu jeńców ocalałych z pogromu przesłuchano natychmiast, ich zeznania potwierdziły tylko bezwzględność naszej wygranej.

Z jaką rozkoszą wtedy odetchnąłem! Byliśmy ocaleni. Strzały cichły w oddali. Z wiatrem nadciągał chłód wieczorny. Czułem się upojony. Zgromadziłem oficerów sztabu, wróciliśmy do pracy. Ustalaliśmy położenie wojsk, przesuwaliśmy oddziały na noc. Kapral telefonista, ten od erkaemu niemieckiego, krzyczał do słuchawki: "dobrze, dobrze, ale myśmy ich naparzyli nie gorzej od was!" Na niebie rozchodziła się łuna, płonął zapalony pociskami Barchaczów.

Wtedy, w pewnej chwili stało się coś, o czem do dziś nie mogę myśleć bez wzruszenia. Od prawej strony, z prawego skrzydła, które przeszło w tych walkach najcięższą próbę, nadciągnął jakiś niespodziewany od głos. Z początku trudno było ustalić co to za rozgwar czy też gromadny krzyk idzie powietrzem. Słuchaliśmy wszyscy zaskoczeni i pojęliśmy rychło, że to był śpiew. Melodja kształtowała się coraz wyraźniej choć wiatr znosił jej tony i rozrywal słowa Echo odbijane śród drzew powtarzało z różnych stron:

Jeszcze Polska nie zginęła
Póki my żyjemy. . .

Na naszem stanowisku zapanowała cisza. Przerwał ją kapral-telefonista: "Barchaczów pyta co się stało?"

Ktoś odpowiedział: "Śpiewają "

Zamilkliśmy znowu. Pieśń zaczętą niewiadomo przez kogo podejmowali inni, słychać było jak idzie po oddziałach niewidocznych w ciemności. Jestem stary żołnierz, wiele przeżyłem ale nic w tym rodzaju mnie nie spotkało. Osłuchane słowa zabrzmiały w tym lesie i w tej nocy jakąś straszną treścią. Głosili ją ludzie, którzy na to ocaleli w boju, by jutro sprawdzić swoje słowa w nowej bitwie. Słuchałem tej pieśni jakby poraz pierwszy. Dopiero wtedy uderzyła mnie jej logika, według której być Polakiem znaczyło tyle, co być za pan brat ze śmiercią. I jakże komu wytłumaczyć ten niezrozumiały nasz sekret? Jak bronić się przeciw najtrudniejszemu życiu, które stało się naszym udziałem? A przecież to, a nie co innego, mówił śpiew płynący z ciemnego lasu, w łunie pod którą ledwie ucichła walka. Tak jakby z pobojowiska podniosła się nasza ukryta ale nieodwołalna prawda. Jakaś wiara sięgająca poza życie, coś co jest w religji.

Długo stałem bez słowa, słuchałem niespodziewanej pieśni, potem zacząłem iść w stronę, skąd nadciągała. Wiatr huczał w gałęziach, łuna służyła mi za nieomylną busolę. Zanim jednak dotarłem do źródła śpiewu, ludzie umilkli i wszystko się uciszyło. Pieśń minęła tak nagle, jak przyszła z nieodgadnionej przestrzeni.

*

Tyle opowiadał mi generał pewnego wieczoru, po nieudanej partji szachów, o bitwie pod Barchaczowem. Innym razem dowiedziałem się, że po zwycięstwie pojechał do Komarowa, by samemu wyjaśnić co się stało ze sąsiednimi oddziałami na lewem skrzydle. Spotkał tam kompanję przysposobienia wojskowego, około sześćdziesięciu chłopców, przeważnie uczniów gimnazjalnych. Stali zgromadzeni w uliczce, dowodził nimi porucznik. "Proszę nas wziąć za sobą" — wołali, gdy tylko samochód zatrzymał się przed oddziałem.

— Patrzyłem na ich młode twarze — powiedział mi — mogli mieć szesnaście albo siedemnaście lat. Grozili mi nawet: "Jeśli nie, to sami pójdziemy!" Co miałem z nimi zrobić? Wcieliłem ich do szeregów, kazałem ten oddział oszczędzać ile się da W następnej bitwie pod Krasnobrodem zginęło dwadzieścia procent tych chłopców. Jak mi meldowano, bili się do ostatka, potwierdzili słowa tamtej pieśni. Taki jest nasz romantyzm, może niezrozumiały, nie wiem — skończył generał.

Tego wieczoru wracałem powoli do domu. Z wybrzeża windsorskiego widać było góry oświetlonych okien w Detroit. Po ołowianej wodzie sunęła kra.

Dwa zdarzenia, śpiew w nocy i wyprawa młodych ochotników na wojnę, skojarzyły się we mnie jakby z jednego nurtu płynące. Nie mogłem przy tem zapomnieć, że mój partner szachowy, kiedyś gdy wstąpił do wojska, też miał lat siedemnaście.

Szedłem powoli pustym bulwarem, w obcem kanadyjskiem mieście, jakże daleko od kraju wypatrywanego wszędzie gdziekolwiek znalazło się dwoje polskich oczu. Nie czułem się jednak zgubiony w tem oddaleniu a obcość pozwala mi wyraźniej widzieć rzeczy, które powszednieją w pobliżu.

Myślałem nad tem, że odkąd Wybicki zaryzykował w mazurku wróżbę o nieśmiertelności swego narodu, pieśń tę śpiewano u nas rozłożoną na głosy pokoleń. Chóry ich gromadziły się często w niewiadomej przestrzeni, śród miast zapomnianych przez Boga, pod łuną bijącą nad lasami i czekały na swoją kolejkę, jak oddział wojskowy. Śpiew który z nich wybuchał, mieszał się z jękami umierających, lecz pozostali przy życiu podejmowali go na nowo. Audytorjum świata być może niedokładnie przysłuchiwało się natarczywej melodji i dziwiło się nie dość rozumianym chórzystom. Ale oto nadszedł czas, gdy sens polskiej pieśni stał się refrenem powszechnej wolności. Pięć kontynentów i siedem mórz upodobniło się do barchaczowskiego lasu, zapodzianego śród wielkich obszarów globu. Łuna świecąca nad niewidocznem miasteczkiem okazała się nieomylną busolą.

Było już późno gdy skręciłem z bulwaru do siebie. Góry okien w Detroit rozpływały się w ciemności. Od rzeki szedł osobliwy szelest, chrzęściła kra, rozcierana i powoli sunąca na wodzie. Tego wieczoru nie czułem się w obcem mieście samotny.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

STANISŁAW STRZETELSKI

O co walczą Polacy

List do przyjaciela-Amerykanina

Drogi Przyjacielu,

W czasie ostatniego naszego spotkania wyraziłeś chęć zapoznania się ze współczesnym, polskim utworem scenicznym "oddającym możliwie najlepiej ideały i tęsknoty polskie." Zdawało mi się, że najsłuszniej będzie jeśli poślę Ci Żeromskiego "Uciekła mi przepióreczka."

Dziś dostałem list z odpowiedzią. Nie szczędząc pochwał dla walorów technicznych utworu wyrażasz przekonanie, że widocznie zaszło jakieś nieporozumienie.

"Utwór Żeromskiego — czytam w Twym liście — rozgrywa się w drobnym i ekskluzywnym gronie intelektualistów. Jest wspaniały, ale — mojem zdaniem — nie daje ani przekroju rzeczywistości polskiej, ani obrazu ideałów polskich. Trudno uwierzyć, by w tęsknotach i ofierze Przełęckiego, w dyskusjach grona profesorów grała rzeczywistość życia setek tysięcy i miljonów Polaków To jest kameralna sztuka i kameralna problematyka, z którą nie tylko chłop i robotnik polski, ale — sądzę — również szeroka masa inteligencji polskiej nie wiele mają wspólnego.

Pozwól mi, abym przy tej sposobności, zgodnie z przyjętą przez nas zasadą szczerości podsunął pod Twą rozwagę parę uwag ogólniejszych. Chodzi o tak charakterystyczny dla Ciebie i Twych rodaków rys egzaltowanej nieco dążności do idealizowania własnego narodu i jakże łatwego poddawania się sugestji poetyckiej wyobraźni Wiesz, jak prawdziwą i głęboką sympatją darzę Polskę i Polaków. Ale właśnie dlatego obawiam się, by ten ideowy a czasami nieco zaślepiony — powiedzmy — woluntaryzm nie naraził Was na tym większe w przyszłości rozczarowania.

Przysłałeś mi w zeszłym roku tom wierszy waszego poety Wierzyńskiego z zakreśloną następującą zwrotką:

Biją się polskie pułki
O Nike samotracką,
O stare, ateńskie zaułki,
O tysiące minionych lat.

Bardzo piękny obraz poetycki. Czy jednak Ty i Twoi rodacy naprawdę i dosłownie wierzycie w to, że nie jednostki, lecz naród polski w tej wojnie bił się i bije świadomie o najbardziej wysublimowane ideały cywilizacji zachodniej, lub, że n. p. miljony Polaków rozumieją i afirmują przerafinowaną niemal postać etyczną ofiary Przełęckiego? Ja osobiście sądzę, że prawdziwe tęsknoty tych miljonów wyczerpują się po prostu w dążeniu do wolnego i spokojnego życia, zdala od niebezpiecznego, bo mijającego się z rzeczywistością i realnemi możliwościami opętania wielkością". . .

Prawdziwie wdzięczny jestem Ci, drogi Przyjacielu, za te szczere słowa. Nie pierwszy raz spotykam się z podobnemi wątpliwościami i zarzutami. Wspólne ich źródło tkwi w bardzo prostym fakcie: oto, Wy Anglosasi, nietylko nie znacie Polaków, ale co gorsza nie staracie się ich poznać.

Z góry pragnę Cię uspokoić; to nie jest wstęp do megalomańskich rozważań na temat Polski, jako jednego z "wybranych" narodów. Wbrew niektórym opinjom Polacy są narodem o bardzo wyrobionym samokrytycyzmie i doskonale zdają sobie sprawę ze swych wad i braków. Mają jednak prawo i obowiązek dbać o to, by obraz Polski i Polaków nie był fałszywy.

Piszesz, że zdaniem Twojem naród Polski walczy nie o jakieś tam wysokie ideały, a po prostu o możność wolnego i spokojnego życia.

Zgoda. Chodzi jednak o to, co rozumiemy pod "wolnem i spokojnem życiem narodu?

Jasną i wyraźną odpowiedź na to pytanie dał naród polski w ciągu obecnej wojny.

I w tym właśnie momencie dochodzimy do źródła pierwszego nieporozumienia świat zna i nawet docenia fakt, że Polska, pierwsza, nie bacząc na beznadziejną dysproporcję sił, przeciwstawiła się Hitlerowi. Straszna cena, jaką naród polski opłacił dotychczas swą walkę wyraża się za okres 3-letnich rządów niemieckich cyfrą 6 i pół miljonów obywateli polskich na ogólną ilość 34 miljonów, czyli przeszło 1-6 ludności, wyjętych z życia kraju, to znaczy ludzi wymordowanych, bądź po wyzuciu ze wszystkiego deportowanych, czy wreszcie wywiezionych na przymusowe roboty. Sześć i pół miljona ludzi wyjętych gwałtem z obiegu życia, a pozostałe 29 miljonów skazane na obręczą najstraszniejszego teroru, poniewierki i głodu.

Z rozmiarów i ze skutków tej ofiary Polski świat naogół zdaje sobie sprawę, natomiast zapoznaje on **istotę i ideową oraz polityczną wymowę tej ofiary.**

Z perspektywy nietylko przeciętnego poziomu gazet, ale także wybitnych polityków zachodniej Europy i Ameryki dramat Polski jest wyrokiem niezależnej od woli Polaków konieczności dziejowej. Polacy rozpoczęli i prowadzą nierówną walkę i znoszą niepojęte wprost dla ludzi zachodu prześladowania bo. . . poprostu nie mieli innej drogi do wyboru.

W rozumowaniu tem tkwi zasadniczy błąd. Na pytanie bowiem czy żyjące pokolenie Polaków miało możność uniknięcia obecnego straszliwego losu historja odpowiada kategorycznie: tak.

Prawdą jest nietylko, iż Niemcy głoszą otwarcie, że dla zdobycia "przestrzeni życiowej" muszą zniszczyć i "wykarczować" z ziemi polskiej wszystkich Polaków i plan ten systematycznie realizują, ale prawdą jest również, iż żyjące obecnie pokolenie Polaków miało możność:

(1) Uniknięcia wojny z Niemcami za cenę udziału wraz z Rzeszą w wyprawie na Rosję w latach 1934-1939;

(2) Odwleczenia co najmniej na czas pewien katastrofy przez zgodę na zmianę granic w sierpniu 1939;

(3) Polepszenia swego losu i uzyskania za cenę uległości pewnej quasi-niepodległości za cenę przyjęcia jednej z 4 propozycyj ugody wysuniętych przez Niemcy w okresie od października 1939 do stycznia 1942.

Naród polski odrzucił wszystkie te propozycje. Na każdą z nich odpowiedział kategorycznym "nie". Bez "ale", bez "może", bez "chyba". A każde "nie", było — za zgodą całego narodu — powiedziane z całą świadomością, że kosztować ono będzie setki tysięcy trupów i mękę niewymowną miljonów.

Publicystyka załatwia tę sprawę bardzo pochlebnie dla Polaków formułą: Polska jest jedynym, podbitym przez Niemców krajem bez Quislingów i Hachów, jedynym narodem, który zrezygnował z polityki podwójnego zabezpieczenia.

Formuła ta jest słuszna, ala, mojem zdaniem nie oddaje nawet w części istoty omawianego zjawiska.

Bo istotą tego zjawiska jest fakt, że dziesiątki miljonów ludzi, całe żyjące pokolenie narodu powiedziało sobie: aby naród nasz mógł żyć, my złożymy w ofierze nasze życie

Pragnę abyś przez chwilę zastanowił się nad tym procesem psychologicznym, który w ciągu ubiegłych trzech lat tyle razy rozgrywał się w duszach miljonów obywateli polskich:

— Nad życiem własnem i nad życiem najbliższych, żony, dzieci, przyjaciół, zawisła groźba nietylko głodu, nietylko śmierci, ale i najstraszliwszych tortur. Pomoc aljantów jest w mgle nie dającego się odszyfrować terminu odległej przyszłości. Zewsząd przychodzą wiadomości, że inne narody, dla uzyskania ulg i dla ratowania substancji biologicznej wchodzą w prawdziwy czy udany kompromis z wrogiem. Wystarczy jeden akt oportunizmu, jedno zgięcie karku, jedno taktyczne i fałszywe choćby "tak", by zapewnić sobie i swoim życie spokojnę i — jeśliby chodziło o pozory formalne także — "wolne".

I w takich warunkach odpowiadają Polacy raz, drugi i szósty: Nie!

Nikt nie zrozumie wewnętrznej treści obecnego dramatu dziejowego, nikt nie osiągnie perspektywy na przyszłość, kto nie zda sobie sprawy i nie zgłębi istoty ofiary, leżącej u źródła obecnej wojny: świadomej ofiary, chciałoby się powiedzieć samobójstwa, 35 miljonów Polaków.

Widzę że w tem miejscu przerywasz moje rozważania sceptyczną uwagą, czy aby nie przesadzam z tą świadomą ofiarą całego narodu? Jednostki, warstwa kierownicza, gorąca młodzież, to zrozumiałe, ale miljony zwykłych obywateli wolne od "egzaltacji politycznej"?

Na pytanie odpowiem pytaniem:

— Czy sądzisz, że w czasie, gdy we wszystkich bez wyjątku narodach europejskich powstały rządy ugodowe i grupy ugodowe, w Polsce nie powstałaby taka grupa, gdyby choćby mała część narodu, choćby 5 czy 10 procent obywateli pragnęła albo godziła się na taką ugodę?

Postawa Polski w czasie obecnej wojny jest wynikiem świadomego aktu woli całego narodu, a ten z kolei wyrazem charakteru narodowego, stylu życia i ideałów polskich. I dlatego mylisz się — Drogi Przyjacielu — twierdząc, że znaczna większość narodu polskiego "nie ma nic wspólnego" z ideałami polskich pisarzy i poetów. Prawdą jest że bardzo wielu Polaków nie czytało nietylko Żeromskiego ale i Mickiewicza, ale prawdą jest także, że postacie i ideały literatury polskiej wyrosły z polskiej rzeczywistości, polskiego charakteru narodowego, polskich dążeń i umiłowań, tak samo jak n. p. gest bohaterski Corneile'a żył i grał w postaciach wielu żołnierzy francuskich, którzy nie wiedzieli nawet o istnieniu tego poety.

Jasną jest rzeczą, że Niemcom chodziło bardziej o pozyskanie Polaków, aniżeli jakiegokolwiek innego narodu środkowo-europejskiego. Obiecywali nam za cenę wzięcia udziału w wyprawie na Rosję bogate łupy terytorjalne i znaczne rozszerzenie granic wschodnich państwa polskiego. Polacy, których i dziś jeszcze wielu z Was uważa za imperjalistów, odrzucili kategorycznie te propozycje. Ale także po wybuchu wojny Berlin nie zaprzestał kuszenia Polaków.

Włączając do Rzeszy zachodnie ziemie Polski — mimo, że Niemcy nie oddawały my, ale za te 96,000 km. kw. na zachodzie z 11 miljonami mieszkańców dawały nam 200,000 km. kw. na wschodzie i Polaków z zachodu przeniesieniem na wschód.

Więc i w czasie wojny jeszcze mieli Polacy możność uniknąć zagłady, którą Rosjanie proponują nam w odwrotnym kierunku (ze wschodu na zachód) i zgody na oddzielenie pojęcia narodu od pojęcia ojczyzny, urządzeniu od eksterminacji i głodu. Wystarczyłaby mała fałszywa gierka a la Quisling czy Hacha by zapewnić sobie względne "spokojne" życie.

— Jeśli nawet spokojne, to w każdym razie nie wolne — odpowiesz.

— Słusznie. W razie ugody Niemcy zostawiłby nam pozorną niepodległość, a w rzeczywistości byłaby to tylko t. zw. kulturalna autonomja, w ramach niemieckiej sfery wpływów.

Dochodzimy do właściwej formuły polityczności, która równocześnie wyjaśnia polskie rozumienie wolności narodu. Brzmi to bardzo dziwnie i nie patetycznie, ale Polacy właśnie dlatego, że świadomie poszli na drogę najokrutniejszych walk i ofiar, ponieważ wolność narodową rozumieją nie jako pojęcie ogólne, tylko jako pełną swobodę kształtowania swego życia.

Wszystko co w ciągu 1000 letnich swych dziejów państwowych dowiódł niejednokrotnie, że obcą nam jest chęć agresji i krzywdzącego eksploatowania innych, a najlepszym dowodem jest zasada "równi z równymi". Dla "wzajemnej miłości braterskiej i w wiecznej obronie obydwu krajów" zawarła Polska unję z Litwą. Jako jedno z pierwszych państw i na 200 lat przed Anglją Polska wprowadziła u siebie zasadę wolności i nietykalności jednostki i całkowitą swobodę wyznaniom religijnym. Ci Polacy, których oskarża się dziś o antysemityzm, byli jedynym narodem, który w czasach najstraszniejszych rzezi i prześladowań Żydów w całej Europie udzielił Żydom gościnności i w ten sposób uratował ich od kto wie, czy nie całkowitej eksterminacji. Taką była postać kultywowania polskiej wolności, w czasie gdy inne narody europejskie wyładowywały swą energję na podboje ludów sąsiednich lub wyprawy kolonjalne.

Fakt, iż naród polski taką właśnie wolność przenosi nietylko nad "spokojne życie" ale nad życie wogóle, stał się bezpośrednią przyczyną obecnej wojny. Jeśli tę podstawę nazwiesz "egzaltacją", "wybujałym nacjonalizmem" czy "opętaniem wielkością", to zdaj sobie sprawę z tego, że właśnie ta egzaltacja, a nie co innego sprawiła, iż dziś, u progu 1943 r. cień swastyki nie rozpostarł się nad całym światem i nie odbywają się rokowania amerykańsko-niemieckie w sprawie n. p. stworzenia światowej centrali clearingowej w Berlinie. . . .

Po raz drugi muszę się zastrzec, że rozważania moje nie wypływają z tak zw. megalomanji narodowej. Nie uważam, wogóle, by istniały narody gorsze lub lepsze, bardziej i mniej wartościowe. Są tylko narody bardziej lub mniej dojrzałe cywilizacyjnie, a przede wszystkiem narody, tak jak ludzie, są różne i nie jednakowe. Inny jest styl życia i hierarchja wartości, inne tęsknoty i ideały Przełęckich, Smithów, Durandów, czy Sołowiejów. Może, a nawet napewno nie, — w absolutnem rozumieniu tego słowa — lepsze lub gorsze, ale po prostu inne. Tamy, położone w poprzek swobodnemu rozwojowi odrębności narodowych, ich niwelacja w imię jakiejś uniformowanej ogólno-ludzkiej szczęśliwości bez barwy i dźwięku przemienićby musiały rwący nurt rozwoju w marazm zamkniętego jeziora... W różnicach charakteru, temperamentu i uzdolnień poszczególnych narodów tkwi olbrzymi kapitał dynamiki rozwojowej ludzkości. Pomysły jednolitego uniformowania narodów i wtłaczania ich w jeden styl życia i ideałów wydają mi się bardzo ryzykowne a poza tem nierealne. Tak, jak w ramach jednego państwa system przemocy, zabijający indywidualność niszczy wielkie walory cywilizacyjne, wynikające przede wszystkiem z aktów dobrowolnej ofiary, tak samo i w życiu międzynarodowem system imperjalistycznej eksploatacji rujnuje możliwości rozwojowe ludzkości.

Nie w koniecznościach mechanicznych lub w niemożności ratowania się na drodze ugody z wrogiem, lecz w umiłowaniu prawdziwej i nie ograniczonej "sferami wpływów" wolności leży fatum dziejowe, które Polskę a za nią świat cały pchnęło do wojny. I dlatego wojna ta nie powinna, nie może zakończyć się pokojem, który mapę świata podzieli w szachownicę siłą narzuconych sfer wpływów. Rozumiem doskonale, że rekonstrukcja świata wymagać będzie pewnego mechanizmu techniczno-politycznego i że z faktu tego wyłonić się może konieczność stworzenia czynnika organizacyjnego i koordynującego, którą to rolę z natury rzeczy obejmie Ameryka i Anglja.

Muszę Ci jednak wyznać, Drogi Przyjacielu, że gdy czytam niektóre enuncjacje amerykańskich i angielskich polityków i profesorów na temat świata powojennego ogarnia mnie niepokój. Oto wybitny profesor proponuje podział świata na kilka wielkich obszarów (czytaj: grossraumów), oto minister spraw zagranicznych zapowiada, że organizacją powojenną świata zajmą się, w postaci trwałego koncertu mocarstw cztery wielkie mocarstwa, oto jedno z wielkich państw zgłasza pretensje do własnej, wielkiej "sfery wpływów' w Europie, uzasadniając to żądanie względami strategicznymi.

Z tych wszystkich mów, not i artykułów odszyfować można jedną formułę: afirmację imperjalizmu i nacjonalizmu ofensywnego wielkich narodów, a równocześnie negację nawet czysto obronnego nacjonalizmu średnich i małych narodów. Wielkie, silne i bogate narody mają nietylko prawo ale obowiązek prowadzenia polityki imperjalistycznej, gdyż polityka taka ma stać się równocześnie metodą utrzymania pokoju, gdy narody małe mają być tylko przedmiotami a nie podmiotami polityki międzynarodowej.

Ten, w umysłowości anglosaskiej coraz bardziej utrwalający się podział narodów na cyfrowo wielkie i małe jest przedewszystkiem kruchy i płynny. Przed 100 laty Francja była w Europie na 2-giem po Rosji miejscu, dziś znajduje się na 5-tem. Siła biologiczna Niemiec spada od lat 20-tu tak gwałtownie, że według obliczeń niemieckich około r. 2000 Niemcy będą liczyły 68 miljonów, Polacy 58 miljonów. Zresztą już na najbliższe 30 lat demografowie przewidują prawdziwą rewolucję w układzie liczebnym narodów europejskich.

Jak widzimy więc, trudno jest w planowaniu na długi okres czasu mówić o narodach wielkich i małych, pomijając już to, że na wnioskach z takich właśnie kruchych rozróżnień opiera Hitler całą swoją doktrynę. I kto wie, czy bakcyl grossraumowych pomysłów Hitlera nie przenika do niektórych mózgów w obozie sprzymierzonych właśnie przez szczelinę zasadniczego rozróżniania między wielkimi a małymi narodami.

Zresztą, de gustibus non est disputandum. Być może, że są narody, którym dogadza bardziej kuratela, czy choćby ugięcie karku w ciepłej wacie protekcji lub sfery wpływów. Naród polski wszczął tę walkę, ponieważ nie chciał ugiąć karku i zaprząc się do rydwanu mocarstwowej polityki Niemiec. I po wojnie także nie zgodzimy się ani na zachodnią ani na wschodnią protekcję mocarstwową.

Cele świadomej ofiary żyjącego pokolenia Polaków wyznaczyły równocześnie polskie cele **wojny.**

Jeśli mówimy dziś o tej ofierze to nie dlatego, by domagać się za prymat ofiary nagród i korzyści. Naród Polski nie pragnie nagród i nie chce obcinać kuponów z kart swej ofiary i swego bohaterstwa.

Ale pytam Cię, drogi Przyjacielu, czy mógłby ktokolwiek po tej strasznej wojnie wierzyć w istnienie sprawiedliwości, porządku moralnego i w czysty sztandar idei, gdyby zbrodnia nie została ukarana, gdyby ofiary takie jak narodu polskiego okazały się daremne, gdyby granice Polski zostały poddane w wątpliwość, gdyby Polska, zamiast uzyskać gwarancje pełnej wolności miała być wepchnięta w ramy takiej czy innej "sfery wpływów".

Ja osobiście — mimo wszystko — wierzę, że zwycięski pokój stanie się istotnie ową katharsis, wielkiem oczyszczeniem moralnem świata. Wierzę w to, tak jak wierzy każdy Polak i dlatego jestem pewien, że ofiary narodu polskiego, nie będą daremne.

W nadziei, że niedługo będziemy mogli o tych sprawach pomówić

Ściskam Cię serdecznie,

S. S.

Maeterlinck o narodzie polskim

Wielki poeta Maurycy Maeterlinck nadsyła nam następujące oświadczenie, które podajemy w przekładzie polskim.

Dwadzieścia siedem lat temu na zebraniu zainicjowanem przez wielkiego malarza historycznego Stykę, wygłosiłem moją pierwszą mowę "Pro Polonia".

Mowa ta powtórzona była przez większość dzienników i włączyłem ją do mego zbioru "Okruchy wojenne". Niestety, dwie trzecie, najlepsze mego tekstu zostały skreślone przez cenzurę francuską, która bała się urazić carską Rosję.

Gdybym mógł odnaleźć oryginał, wystarczyłoby mi powtórzyć co w nim powiedziałem, dodając okropności i nieszczęścia obecnej wojny, sto razy okrutniejszej, bardziej bezlitosnej i bardziej szatańskiej, niż poprzednia.

Dzisiaj chodzi wrogowi rodzaju ludzkiego o wytępienie zupełne, metodyczne i naukowe najszlachetniejszej, najbardziej bohaterskiej rasy, jaką wydała ziemia.

Nie pojął on dotąd mimo wspaniałych nauk historji, że wystąpił przeciw narodowi, który nie umiera, narodowi, którego kolejne zmartwychwstania stały się podziwem świata i który z najbardziej niesprawiedliwego grobu czerpie nieśmiertelne życie.

ANATOL MUHLSTEIN

O koncepcję w polityce zagranicznej

Wbrew temu co sądzi przeważająca większość dyplomatów, polityka zagraniczna nie jest "urzędowaniem", ani nawet załatwianiem mniej lub więcej pomyślnem poszczególnych spraw. Można zależnie od okoliczności, albo od talentu negocjatorów, uzyskiwać tak zwane w języku urzędowym "sukcesy" a nie mieć jednak polityki zagranicznej. Polityka zagraniczna jest mozolnem i upartem wcielaniem, nieraz na przestrzeni stuleci całych, najważniejszych postulatów państwowych, postulatów wynikających z woli świadomej czy podświadomej całego narodu a nie poszczególnych jego klas lub stronnictw. Tak pojęta polityka zagraniczna jest nieodłączona od ewolucji narodu, jest poprostu wyrazem jego życiowych konieczności, ekspresją dyplomatyczną tego co się nazywa "racją stanu."

Wszystkie wielkie narody, które na arenie międzynarodowej przodujące zajęły miejsca, miały taką niezmienną, przez całe pokolenia trwającą, politykę zagraniczną Francuzi przez setki lat borykali się ze swoją polityką zagraniczną, stale i niezmiennie zmierzając do jednego celu. Jedni Francuzi drugim ten cel przekazywali; królowie królom, monarchja republice, republika cesarstwu, cesarstwo znowu republice, a celem tym były tak zwane "frontieres naturelles", naturalne, przyrodzone granice, to znaczy, granice Renu, Pirenei i Alp. W tej samej mierze, z powodzeniem lub bez powodzenia, walczyli o postulat ten Ludwik XIV, Danton, Napoleon i Foch. "Granice naturalne" stanowiły więc prawdziwą narodową politykę zagraniczną Francji.

Tę samą permanencję celów i wysiłków odnajdujemy i u innych narodów. W pierwszym swym okresie dziejowym, Prusy miały przedewszystkiem na oku złączenie prowincji wschodnio-pruskiej z Brandeburgją i do tego celu antypolskiego zmierzały z bezwzględną konsekwencją. Potem Prusy obrały sobie monarchję Habsburską jako główny objekt swej polityki i przez kilkadziesiąt lat wszystkie swe wysiłki koncentrowały na jednym punkcie: wykluczenie Austrji z Cesarstwa Niemieckiego, złączenie możliwie największej ilości ziem niemieckich we własnych granicach. Dopiero po realizacji celów wewnętrzno-niemieckich, zaczął się okres europejskiego i światowego imperjalizmu niemieckiego.

W polityce brytyjskiej elementem stałym było dążenie do panowania nad morzem, nie dla schlebiania próżności angielskiej, że "Britania rules the waves" ale dla zadośćuczynienia najpozytywniejszym wymaganiom życia, albowiem tylko panowanie nad morzem mogło zapewnić stały odpływ wytworów przemysłu angielskiego i stały dopływ żywności.

W polityce Stanów Zjednoczonych dominowała również jedna koncepcja: doktryna Monroe, która przetrwała aż do ery wojen światowych a której istotnymi składnikami są: głęboka solidarność z Anglją wbrew obopólnym niechęciom, sympatja do potęg demokratycznych a przedewszystkiem jako główna podstawa, decyzja, że nigdy ziemie kontynentu amerykańskiego nie staną się więcej objektem kolonizacji mocarstw europejskich.

Omawiając wiekopomne orędzie Prezydenta Monroe do Kongresu z dnia 2 grudnia 1823 r., Charles A. Beard pisze: "Happily formulated, favored by the times and backed in effect by the British Navy, the Monroe Doctrine at once gained a potency in world affairs that went far beyond the military strength of the rising American republic."

Wybitny historyk amerykański utrafił tutaj w same sedno rzeczy. Prawdziwa koncepcja w polityce zagranicznej jest synteza dążeń danego narodu z wymogami rzeczywistości, pogodzenie jego życiowych interesów z interesami życiowymi sąsiadów. I dlatego, każda zdrowa koncepcja zewnętrzno-polityczna wzmacnia siły państwa, powiększa jego autorytet w społeczności międzynarodowej i daje mu wpływ przewyższający jego możliwości czysto militarne. Najważniejszą jednak cechą istotnie narodowej koncepcji zagranicznej jest jej jednomyślne przyjęcie przez cały naród, przez wszystkie jego klasy i odłamy. Tylko taka jednomyślność daje gwarancję, że koncepcja nie jest sztucznym wytworem ideologów lub fachowców, lecz istotnym wykładnikiem woli narodowej. Te właśnie cechy autentyczności posiadała Doktryna Monroe, która przez całe stulecia była prawdziwą ewangelją polityczną wszystkich stronnictw amerykańskich, wspólną własnością wszystkich jego odłamów, jedyną kwestją co do której między republikanami i demokratami nie było nigdy różnicy zdań.

Nieboszczyk Aleksander Skrzyński, jeden z niewielu polskich ministrów, który miał polot, intuicję i instynkt rzeczy przyszłych, napisał kiedyś, że Najjaśniejsza Rzeczpospolita zginęła nie przez brak stałej armji, lub zasobnego skarbu, ale przedewszystkiem dlatego, że już wiele lat przed podziałami utraciła koncepcję polityki zagranicznej. Nic słuszniejszego i głębszego nie zostało na ten temat powiedzane przez żadnego z naszych pisarzy politycznych. Kraj nie mający własnej koncepcji zewnętrzno-politycznej, staje się zawsze objektem polityki obcych, igraszką bliższych i dalszych sąsiadów. Co więcej, kraj pozbawiony świadomości celów własnych zazwyczaj niechętnie też zdobywa się na wysiłek zbrojeniowy. Kto niczego nie chce albo nie wie czego chce, ten się do niczego nie przygotuje. Brak armji i skarbu był więc w latach przedpodziałowych konsekwencją braku polityki zagranicznej.

Tak było w dawnej Polsce. A w nowej? W tej którą można nazwać drugą Rzeczpospolitą? Czy istniała w naszej nowoczesnej Polsce prawdziwa, narodowa koncepcja dyplomatyczno--polityczna?

Pomijając okres niewoli, w którym z natury rzeczy istnieć musiały dwie koncepcje: ugodowa i niepodległościowa, zajmijmy się okresem naszej krótkiej, dwudziestoletniej wolności.

Pierwsze lata drugiej Rzeczypospolitej, to okres utrwalania niepodległości, okres budowy i powolnego krzepienia młodego organizmu państwowego. Nie sprzyjają one tworzeniu koncepcji. Jeden Piłsudski miał wówczas wielką wizję federalistyczną, ale nie poparty przez zachód i niezrozumiany przez naród, nie zdołał uczynić z niej podstawy polityki polskiej.

Te lata pierwsze, a właściwie całe pierwsze dziesięciolecie, był to okres niezwykły, nienormalny, okres w którym dwie największe potęgi kontynentalne: Niemcy i Rosja, odznaczały się wybitną słabością. Po raz pierwszy od tylu lat te dwie groźne sąsiadki Rzeczypospolitej nie były dla niej niebezpieczne. Otóż, koncepcja polityczna nie może być obliczona na takie wyjątkowe czasy, kiedy kraj jest w sytuacji tak pomyślnej, że żadne niebezpieczeństwo mu nie zagraża. Narodowa polityka zagraniczna powinna być obliczona nie na spokojne, ale na ciężkie czasy. Koncepcja dyplomatyczna ma wartość tylko wtedy, kiedy zebezpiecza naród przed grożącą mu katastrofą. A w pierwszem dziesięcioleciu niepodległości, nietylko żadna katastrofa zewnętrzna Polsce nie groziła, ale przeciwnie, Polska miała zupełnie wyjątkową swobodę działania, z której zresztą w zaraniu swego samodzielnego istnienia nie omieszkała skorzystać, załatwiając pomyślnie dla siebie sprawę wileńską i problem śląski.

Po czasach wyjątkowych nastąpiły dni zwykłe. Rosja i Niemcy odzyskały swoją pozycję wielkich i potężnych mocarstw. Przed Polską stanęły jej stare tradycyjne zadania: obrona niepodległego bytu, zawarowanie sobie tej istotnej wolności w działaniu, bez której nie masz samodzielności ani niepodległości. W tym okresie stawała się zupełnie niezbędną koncepcja, doktryna w polityce zagranicznej. Minęły bowiem czasy łatwizny, kiedy na wszystko właściwie można było sobie pozwolić. Nadchodziły dni wielkich prób. Na pytanie, jak obronić niepodległy byt Rzeczypospolitej, odpowiedź przestała być prostą.

Żadnemu z państw europejskich nie była tak potrzebna jak Polsce koncepcja polityczna, obliczona nie na dni, ale na lata i dziesiątki lat. I Polsce właśnie doktryny tej zabrakło. Tak zwana polityka "niezależności", prowadzona w ostatnich latach przed wojną była właściwie niczem innem, jak polityką pozorów. Była to doktryna oparta tylko na słowach. Nie wspierała jej żadna rzeczywistość, ani zewnętrzna w postaci faktów międzynarodowych, ani wewnętrzna w postaci opinji publicznej polskiej. Naród polski instynktem czuł, że t. zw. polityka niezależności, którą szczycono się w ostatniem pięcioleciu, była pozorem, i naród polski — wszyscy to muszą przyznać — nie darzył tej polityki ani swą sympatją, ani zaufaniem. Pod tym względem masy wykazały więcej rozumu, rozwagi i intuicji niż politycy i dyplomaci, którzy politykę tę prowadzili. Dzięki takim oto faktom utrzymuje się w nas wiara w demokracje, w powszechne głosowanie.

Rozmiary tego artykułu nie pozwalają na szczegółową analizę t. zw. polityki "niezależności". Niepodobna więc obecnie uzasadnić i faktami poprzeć twierdzenie, że polityka "niezależności" była tylko polityką pozorów. Przyjdzie na to czas ,bowiem trudno tworzyć istotną doktrynę, nie analizując krytycznie pseudo-doktryny ostatnich lat przedwojennych.

Zadanie tworzenia nowej koncepcji spoczywa teraz na barkach emigracji, całej emigracji, zarówno tej co piastuje urzędy, jak i tych bądź co bądź licznych rzesz, które pozostały poza kadrami urzędniczemi i które mają prawo i obowiązek myśleć niezależnie. Nie wystarczy powiedzieć, że dążymy do odzyskania utraconej niepodległości. Nie wystarczy nawet walka o całość naszych ziem. Polska jest państwem, które od lat dwudziestu ma granice uznane przez całą, społeczność międzynarodową. Nikt tych granic nie podawał w wątpliwość, aż do września 1939 r., kiedy Polska podjęła pierwsza walkę z Niemcami.

Cóż więc zaszło nowego? Rewindykacje rosyjskie? Nie mają one znaczenia prawnego, albowiem Rosja sama położyła swój podpis pod traktatem wykreślającym granice Rzeczypospolitej. Nie mają również znaczenia faktycznego, albowiem Rosja nie jest w posiadaniu naszych wschodnich województw. Fakt, że Polska w obronie swojej i cudzej własności nie zawahała się przed najstraszliwszą z wojen, nie daje jeszcze powodu, aby w nagrodę za ten bohaterski czyn, pozbawiono jej połowy prawie terytorjum. Dla Polaka więc nie ma i nie może być kwestji granic.

Twierdzić, że musimy zachować nasz stan posiadania, to nie jest polityka polska, **to jest wstęp do polityki polskiej**, podstawa na której wszystko się opiera. Polityką będzie dopiero obmyślanie środków zaradczych przeciwko niebezpieczeństwom, na które Rzeczypospolita ze względu na swą pozycję geograficzną, jest stale narażona.

Mieliśmy już przez dwadzieścia lat ryskie i wersalskie granice. Nie uchroniło to nas, ani zresztą całej Europy, od okrutnej porażki. Restytucja integralna, od której żaden Polak odstąpić nie może, nie rozwiązuje bynajmniej naszego odwiecznego problemu. Jeżeli się nie zmieni nic w polityce zewnętrznej i wewnętrznej Polski, nietylko powrót do dawnych granic, ale nawet znaczne powiększenie terytorjum państwowego, nie uchroni Rzeczypospolitej od przyszłych katastrof. Polska jest wciśnięta pomiędzy dwa olbrzymy, oto twardy historyczno-geograficzny fakt, którego nie usunie przyszłe zwycięstwo Zjednoczonych Narodów, tak samo jak nie usunął go triumf Sprzymierzonych w 1918 roku. Po najstraszniejszych klęskach narody się odradzają. Widzieliśmy to już raz. Zobaczymy i później. Będzie naród niemiecki, potężny i groźny, naszym sąsiadem, nawet po najstraszniejszym rozgromie Trzeciej Rzeszy. Nie uchronimy się od tego niebezpieczeństwa za pomocą nawet największych mechanicznych aneksji. Nie obroni nas od tej grozy oręż wydobyty ze starych, tradycyjnych arsenałów. Tylko w nowym układzie stosunków europejskich możemy znaleźć gwarancję niezależnego bytu. Nakazem polskiej racji stanu musi więc być dążenie do **nowej równowagi,** a nowa równowaga w Europie jest nie do pomyślenia bez federacji środkowo-europejskiej.

W tem jednem słowie **federacja** mieści się przyszłość polskiej polityki zagranicznej. Tutaj jest pole do działania. Tu się otwiera możność stworzenia prawdziwej, konkretnej, płodnej i zbawczej koncepcji zewnętrzno-politycznej.

Żaden naród nie jest tak jak polski przygotowany przez swą tradycję historyczną, do podjęcia inicjatywy federalistycznej w środkowej Europie. Polska nigdy nie odniosła większych tryumfów politycznych, jak wtedy, kiedy zrzeszała się ze swymi sąsiadami pod hasłem: "równi z równymi", "wolni z wolnymi". Idea federacyjna opromienia całą jej przeszłość. Do tej przeszłości trzeba powracać, jeśli się chce budować gmach nowej Polski w nowej Europie.

Nie zabezpieczy się interesów Rzeczypospolitej, broniąc uparcie wszystkich przywilejów suwerenności we wszystkich dziedzinach życia. Przeciwnie, im prędzej dojdziemy do przekonania, że dobro Polski wymaga pewnej ofiary z praw suwerennych państwa na rzecz Federacji środkowo-europejskiej, tem łatwiej dojdziemy do koncepcji politycznej, która zapewni przyszłym pokoleniom polskim istotnie samodzielny i niepodległy byt.

Nie trzeba nam się łudzić; ciężkie to będzie zadanie, albowiem chodzi tu nietylko o nową politykę ale o przemiany psychiczne, o rewolucję w myśleniu. Ostatnie kilkadziesiąt lat upłynęły w Polsce, jak i w całej zresztą Europie, pod znakiem wojującego nacjonalizmu. Narody się kurczyły i zasklepiały w sobie, instynktownie odpychając wszystko co ku nim szło z zewnątrz, a co, w przekonaniu pseudo-myślicieli, miało zagrażać ich wewnętrznej spoistości. Każdy naród europejski przechodzi w tej czy innej formie pewien atak rasizmu. Dopóki się ta tendencja nie odwróci, trudno myśleć o jakiemś porozumieniu międzynarodowem.

Dla Polski, ta reforma duchowa jest zadaniem najpilniejszem. Polska nacjonalistyczna nie zdobędzie sobie wśród narodów środkowo-europejskich ani zaufania, ani dostatecznego autorytetu moralnego, aby mogła wypełnić swoją misję. Tylko Polska oczyszczona z naleciałości obcych doktryn, pojednana ponownie ze swoją prawdziwą, jagiellońską tradycją wolności, humanizmu i tolerancji, potrafi się wznieść na te wyżyny moralne i polityczne, których wymaga od niej jej misja europejska.

Na obecnym rządzie naszym ciąży wielka odpowiedzialność. Jego to przedewszystkiem obowiązkiem jest uczynić ze sprawy federacji środkowo-europejskiej kwestję aktualnych zainteresowań międzynarodowych. Wiemy, że nie w jego mocy jest załatwienie po naszej myśli wielu konkretnych zagadnień. Ale w sprawie federacji może on dużo zrobić. Cały aparat propagandowy powinien być niezwłocznie na to nastawiony. Należy przekonać naszych wielkich aljantów, przedewszystkiem Anglję i Stany Zjednoczone, że w swoim własnym interesie powinny one energicznie poprzeć nasze usiłowania federacyjne. Należy prowadzić nieustanną akcję wśród wszystkich naszych przyszłych socjuszów federacyjnych, akcję uświadomiania, przekonywania akcję godzenia przeciwieństw wewnętrznych i zewnętrznych. Należy wreszcie przekonać naszych własnych rodaków, że federacja środkowo-europejska nie jest mrzonką idealistów, ale konkretną polityką, od której cała nasza przyszłość zależy.

O wolność ojczyzny walczył żołnierz polski wszędzie: w Polsce, na równinach Szampanji, w śniegach Norwegji i pod znojnem niebem libijskiem. Z jego to spracowanych i krwawiących rąk i z rąk jego aljanckich towarzyszy broni, Polska otrzyma bezcenny dar swej przywróconej wolności. Niedość jednak jest wolność zdobyć. Trzeba ją jeszcze zachować.

Tylko na fundamencie federacyjnym zbudowana polityka zagraniczna pozwoli Polsce odnaleźć i umocnić swą pozycję w Europie. Raz na sto lat nadarza się taka okazja. Oby nie była zmarnowana.

TEKA CZERMAŃSKIEGO



W PRACOWNI MALARZA

ZENON KOSIDOWSKI
„SQUADRON 303" FIEDLERA

Nowa książka znakomitego pisarza podróżniczego, wydana w języku angielskim przez londyńską instytucję wydawniczą Peter Davies, jest przepysznym hołdem literackim, złożonym bohaterskiej załodze słynnej eskadry polskiej 303. Ujęta w nader skromną, podyktowaną przez angielskie warunki ekonomiczne, szatę graficzną, stanowi bodaj jedno z najlepszych opowiadań obecnej wojny. Należy ubolewać, że nie znalazła się dotąd w ręku czytelnika amerykańskiego. Strata zgoła niepowetowana — książka Fiedlera jest bowiem nietylko pierwszą książką, poświęconą w całości pamiętnym zwycięstwom tejże eskadry, lecz w dodatku pierwszą, napisaną przez tak wytrawnego, tak przedniego w sztuce narracji autora. Z początku ten i ów cudzoziemiec przeczytałby ją dla jej epizodów, dla jej faktów historycznych, rychło jednak rozeszłaby się wśród amerykańskiej publiczności wieść jak wspaniałą, jak porywającą beletrystyką jest ta skromna książka polskiego autora.

Dla miłośników książek Fiedlera temat lotniczy, podjęty przez tego malarza egzotycznych krajów, zwierząt, puszcz i dzikich szczepów — był prawdziwą niespodzianką. Do tej niespodzianki przymieszał się lekki niepokój wśród tych, którzy wiedzieli, że Fiedler nigdy lotnikiem nie był. Ów wybór, tak daleki od jego dotychczasowej twórczości, tłómaczono sobie chęcią służenia krajowi, krokiem pisarza, który oddał swoje pióro na usługi polskiej propagandy. Ale wkrótce przekonaliśmy się, że byliśmy w błędzie. Opowiadania Fiedlera spotkały się przedewszystkiem z pełną aprobaty oceną ze strony najbardziej kompetentnej samych członków eskadry 303. Najwidoczniej intuicja pisarska oraz sumienna rekonstrukcja faktów lotniczych zastąpiła "fachowość" z powodzeniem.

Gdy jednak nieco głębiej wnikniemy w istotę twórczości Fiedlera, gdy uprzytomnimy sobie, co w niej było porywającego i oryginalnego, nie trudno nam wytropić głębokie związki pokrewieństwa z tematem lotniczym. Niewątpliwie temat ten porwał wyobraźnię Fiedlera i znęcił jego talent pisarski. U kolebki jego książki była czysta, bezinteresowna pasja i niesfałszowana ubocznemi celami inspiracja.

Zrozumiemy to w pełni, gdy na chwilę wspomnimy jego dzieła, szczególnie "Ryby śpiewają w Ukayali" oraz opowiadania z Madagaskaru. Fiedler nie jest zwykłym malarzem przyrody i opowiadaczem przygód. Gdy w jarząco jaskrawych kolorach opisuje rozszalałą bujność brazylijskiej puszczy albo gdy w "Purpurowej śmierci" z agonji kameleona, gasnącego w niesamowicie jaskrawych kolorach skóry — robi jakiś wstrząsająco kosmiczny dramat natury wreszcie kiedy sam staje się groteskowem pośmiewiskiem w szyderczych pieśniach o długim nosie, śpiewanych przy nocnem ognisku przez tubylczą młodzież jakiejś wsi madagaskarskiej — urzeka nas nietylko malowniczy przepych obrazów i dramatyczny nurt opowiadania. Ujawnia się w nich wielka niezgłębiona tajemnica życia, złowrogość jej potęgi, jej irracjonalna przedziwność. Poprzez przygody człowieka i jego spotkania z żywiołem, przez milcząco wymowne oczy egzotycznych zwierząt oraz płomienne kolory storczyków czy papug — przeziera świat inny, daleki i niepokojący. Fiedler kocha ten świat nieznany, tę zagadkę, którą usiłuje ujarzmić, wędrując po świecie. Jest to zarazem jego ucieczka od szarzyzny i przeciętności, od wszystkiego, co każe zapomnieć o niesamowitem pięknie wielkiej tajemnicy życia. W zetknięciu z tem pięknem, w walce z niem lub w zagubieniu się w jego fascynującym uroku, choćby kosztem własnego życia, znajduje drogę godności ludzkiej i wyzwolenia.

Łatwo przeto zrozumieć, iż przedziwna przygoda polskich lotników, szybujących 20 tysięcy stóp ponad Londynem w śmiertelnych zapasach lotniczych, musiała olśnić jego wyobraźnię. Tam w tej błękitnej samotności, gdzie magja świateł i przestrzeni jest zarazem tak urocza i przerażająca, polski lotnik, chłopiec z Warszawy, z Krakowa czy Wilna, nagle staje się drapieżnym herosem, olbrzymem namiętnych instynktów, sam na sam ze śmiercią i z żywiołami. Tam odbywa się polowanie, pełne chytrych wybiegów i wściekłej zawziętości, błyskawicznych odruchów i nagłych ciosów. Chmura, płynąca wolno w szafirowej pustce, staje się dla lotnika uroczyskiem puszczy, gdzie można ukryć się w zasadzce na wroga, słońce, jutrznia czy zmierzch dają lotnikowi osłonę, dogodną dla morderczego zaskoczenia. Szklistą toń przecinają mleczne pasma dymu, kreślone przez pościgowce, szalejące po niebie w obłędnym pędzie. Nad tym dramatem ludzkiego losu czuwa niezmącona cisza zamglonych horyzontów i obła toń sfalowanego morza, sine mgły Londynu i leniwe ujście Tamizy.

Fiedlera uderzyła wielkość tego dramatu i demoniczne piękno tych wydarzeń, które działy się za osłoną jałowej nazwy "walki o Londyn". Ze statystyk i urzędowych komunikatów pragnął dobyć człowieka, protagonistę dramatu, w pełni jego najbardziej ludzkich namiętności. Do rzeczy zabrał się ze zwykłą sobie skrupulatnością badacza i analityka. Z podziwem śledzimy, z jaką drobiazgowością i z poczuciem odpowiedzialności zgromadził tysiączne szczegóły o charaktere technicznym i psychologicznym. Ileż benedyktyńskiej pracy trzeba było, aby to wszystko złożyć w działający mechanizm, w obraz prawidłowy. Szczególnie widzimy to w licznych batalistycznych obrazach lotniczych. Fiedler opisuje dokładnie każdą pozycję samolotów, ich obroty i strategiczne przesunięcia w wymiarze, podaje odległość z rzeczowością raportu, niemal liczy ilość oddanych strzałów i trafień. Sytuacje potyczek widzimy z klarowną ostrością, poznajemy przyczyny zwycięstw i niepowodzeń. Jest to zdumiewająco dokładne sprawozdanie wojenne, wiarogodny dokument dla przyszłych historyków.

I tu właśnie, w umiejętnem połączeniu sprawozdawczej ścisłości z żywą, obrazową narracją — ujawnia się świetny talent autora. W walkach powietrznych jest ruch i plastyka, jest dynamika życia i zapierające oddech napięcie. Niektóre opowiadania mają grozę i piękno niesamowite. Niezapomniane chyba pozostaną obrazy takie, jak demoniczny taniec samolotu niemieckiego, którego lotnik w spazmach dogorywał przy sterze, lub przeżycie polskiego lotnika, który spadał w przepaść, nie mogąc ranną ręką otworzyć spadochronu.

Uczestnicy tych walk są w opowiadaniu Fiedlera osobami żywemi, niemal tak bliskiemi, jak postacie Sienkiewiczowskie. Widzimy ich młodzieńcze twarze i naiwną prostotę spojrzeń, ich żarty, troski i nawyki. Każdy z nich jest inny na ziemi, każdy ma swe przyzwyczajenia, chytrości i temperaturę, gdy naciera na nieprzyjacielski samolot: jeden czyni to z zagorzałą zaciętością, inny ze sprytem Zagłoby, tamten znów z cierpliwością myśliwego. Galerja tych polskich lotników, tak różnorodna i bliska nam w cechach polskiego charakteru, tak malownicza i prawdziwie ludzka, przysparza książce szczególnego uroku. Tem bardziej, że autor rysował ją ze swym, tak dobrze znanym czytelnikom, dyskretnym i ciepłym humorem.

Bogactwo tych opowiadań przelał autor w język prosty i powściągliwy, pozbawiony ozdób i wielkich słów. To, iż mimo tego umiaru potrafił nas pochłonąć i urzec tokiem swego opowiadania — stanowi zwycięstwo jego sztuki — że wobec tego dramatu narzucił sobie takie, pełne szacunku, ograniczenie pisarskiego rzemiosła — jest dowodem artystycznego taktu, który stanowi jedną z głównych zalet książki.

Ewa Curie

Ewa Curie świetna pisarka i mówczyni, której książka o matce obiegła tryumfalnie świat cały, budząc nietylko podziw dla wspaniałej postaci Marji Curie, ale również sympatję i zrozumienie dla Polski tak niezwykle odczutej przez autorkę — ofiarowała "Tygodnikowi Polskiemu" opis swych wrażeń z zetknięcia się z wojskiem polskiem w czasie odbytej rok temu podróży po wszystkich frontach.

Jesteśmy szczęśliwi że pierwszy nasz numer zdobi imię panny Curie, które oznacza to, co najpiękniejsze w polskiej i francuskiej tradycji.

Rodziński w Nowym Jorku

Nasz znakomity rodak Artur Rodziński, powołany został na dyrektora Orkiestry Filharmonji w New Yorku na warunkach zapewniających mu samodzielność i wpływ, których oddawna nie miał nikt z jego poprzedników. Wybór ten jest apoteozą działalności artystycznej wielkiego muzyka, rozpoczętej we Lwowie, rozkwitłej w Warszawie i najgłębszem czuciem związanej z Polską, działalności oddanej czystej wielkiej sztuce, szerzącej ją z największem znawstwem i polotem, zdobywającej tłumy dla niezniszczalnych, największych wartości.

Jeżeli życzenia i powinszowania wszystkich znawców i miłośników muzyki towarzyszą Arturowi Rodzińskiemu na nową jego pracę, na najwyższy posterunek muzyczny w Stanach — my, Polacy łączymy do nich uczucie niezasłużonej przez nas ale zrozumiałej dumy, że to właśnie on, że to właśnie ów fenomenalny Rodziński, którego przed laty stary Młynarski przywiózł ze Lwowa do Warszawy, który w Warszawie miał pierwsze swoje tryumfy, którego z Warszawy wywiózł Stokowski i który z Warszawy wywiózł Halinę Lilpopówną jako panią Rodzińską, że to on właśnie święci ten tryumf, dostaje tak niezwykłe zadanie.

"Tygodnik Polski" najserdeczniej uczestniczy w tych polskich powinszowaniach i życzeniach.

Odczyty w Instytucie

Odczyty, odbywające się obecnie raz po raz w Polskim Instytucie Naukowym, w małej, nastrojowej salce na 36 ulicy są nawiązaniem do świetnych tradycji Bibljoteki Polskiej w Paryżu, są przypomnieniem wielkich warszawskich sezonów odczytowych — jeszcze przed poprzednią wojną, kiedy to najświetniejsi pisarze i uczeni, swoi i obcy, zjawiali się na katedrach sal warszawskich, aby mówić do publiczności, która wiedziała, że kino nie jest najwyższym objawem sztuki, feljetonista gazety najwyższym autorytetem naukowym i która chciała uczyć się naprawdę i z najlepszych źródeł. Możnaby śmiało zaryzykować twierdzenie, że obojętność publiczności na odczyty była jednym z najjaskrawszych objawów upadku rzetelnej kultury i tam wszędzie, gdzie trwała głęboka miłość do sztuki, prawdziwa ciekawość wiedzy, tam wyrugowani z płochych serc przez gwiazdy filmowe wielcy uczeni, pisarze i politycy budzili przecież wciąż zaciekawienie i zachwyt poważnej publiczności. I jeśli szał Bergsona, na którego wykładach dziesięć lat temu tratowano się poprostu w College de France, nie powtórzył się już nigdy, to przecież ilekroć Churchill, Reynaud, Giraudoux, Maurois, Gillet zapowiadali swe pojawienie się na estradzie — sale Conferences des Ambassadeurs, Societe des Conferences, Universite des Annales w Paryżu były zawsze przepełnione.

Dotknięta w tych swych intelektualnych potrzebach, pozbawiona nowych książek, zagubiona w tak rozległym i rozbieżnym Nowym Yorku publiczność polska ma teraz dobrą okazję, aby dowieść, że przedstawia naprawdę, jak to tylekroć mówi, ową tępioną kulturę polską. Tak zwana "śmietanka" tej publiczności może teraz właśnie dowieść, że wie co to był naprawdę Paryż, że nie były to tylko ostrygi u Prunier, kaczka w "La Tour d'Argent", wieczór w "Casino de Paris" a potem... no lepiej nie mówić o tem — ale że było to przedewszystkiem współżycie z kulturą, przeniknięcie nią całego życia, każdego dnia. Odczyty w Polskim Instytucie Naukowym, zarówno polityczne jak i literackie, pomyślane są bądź to jako pogłębienie aktualnych problemów, bądź jako kontakt z kulturą polską, przypomnienie jej, podsycenie jej tętna; wszyscy bawiący w Nowym Yorku pisarze polscy, wszyscy specjaliści historji i krytyki literatury, wśród których jest paru wykładowców z Bożej łaski, mówią co drugi poniedziałek o naszej literaturze, co drugi piątek odbywają się odczyty z cyklu "Literatury narodowe i ich pierwiastek uniwersalny", odczyty rozpoczęte wykładami prof. Nock'a o klasycyzmie i Cohena o literaturze francuskiej, ponadto szczególnie aktualne problemy literackie i metodologiczne poruszane są w licznych wykładach.

Odczyty Wittlina i Bonfante

W bieżącym tygodniu odbyły sie w Polskim Instytucie Naukowym (37 East 36 Street, New York City) następujące odczyty:

"Poezja polska od początków do XVIII wieku" wygłosił Józef Wittlin, w poniedziałek dnia 4 stycznia o godzinie 8:30 wiecz.

"Literatura włoska" (z cyklu "Literatury narodowe i ideały ogólne") wygłosi profesor Uniwersytetu w Neapolu i Princeton University, Julien Bonfante, w piątek, dn 8 stycznia o godzinie 8:30.

OKRUCHY

KSIĄŻKI W MILJONACH

W Stanach Zjednoczonych wychodzi rocznie około 500 miljonów książek i broszur.

PODRĘCZNIKI ŻYCIA

Zdumiewające jest powodzenie jakiem się w Stanach cieszą "podręczniki życia". Wiele z nich osiągnęło rekordową ilość sprzedanych egzemplarzy. W 1938 roku Amerykanie kupili przeszło 600 tysięcy egzemplarzy książki Dale Carnegie: "How to win friends and influence people"; przeszło 200 tysięcy Walter Pitkin'a "Life begins at 40"; przeszło 100 tysięcy egzemplarzy "Wake up and live!"

MEDYCEUSZE NASZYCH CZASÓW

"Business" w Stanach Zjednoczonych stał się gorliwym protektorem i opiekunem nauki, którą finansuje w znacznej mierze. Około 200 miljonów rocznie jest przeznaczone na naukowe doświadczenia. United States Steel Industry, naprzykład, prowadzi 174 placówki doświadczalne.

PRACA AMERYKAŃSKA

91 procent całkowitej produkcji tanków w Stanach jest wyrabiane przez fabryki. które zaledwie półtora roku temu wyrabiały wyłącznie auta. Mimo znacznych zmian w urządzeniach fabrycznych, robotnicy pozostali ci sami co poprzednio.

KRADZIEŻ I REWINDYKACJA

Niemcy ograbiają Francję nietylko z gospodarczych ale i artystycznych jej bogactw: po historycznych pamiątkach "sentymentalnych" muzeum Inwalidów przyszła kolej na inne muzea i zbiory prywatne. Jean Oberle, francuski speaker londyńskiego radja liczy się z ewentualnością tak starannego ukrycia tych łupów, że odzyskanie po wojnie wszystkich skradzionych dzieł sztuki może okazać się wprost niemożliwe.

W Berlinie, Dreznie, Norymberdzie i wielu innych miastach Rzeszy znajdują się z dawnych czasów bardzo cenne "polonica artystyczne", które nasza komisja rewindykacyjna będzie niewątpliwie miała na uwadze, kiedy wystąpi o zwrot zabytków sztuki, zrabowanych lub zniszczonych podczas obecnej okupacji niemieckiej.

W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH "TYGODNIKA POLSKIEGO" ukażą się między innymi artykuły
W. M. BESTERMANA
ANTONIEGO CWOJDZIŃSKIEGO
X. S. A. ICIEKA
JANA KUCHARZEWSKIEGO
WANDY LANDOWSKIEJ
TADEUSZA MITANY
MARJI MODZELEWSKIEJ
JERZEGO TEPY

WHOM — 1480
POLSKIE PROGRAMY RADJOWE

B. Rosalak — 11.45 do 12.30
K. Jarzębowski — 12.30 do 1.30
L. Sobolewska — 4.00 do 4.30
K. Cieciuch — 4:30 do 5.00
Druh Doradca — 5.15 do 5.30 (wtorki, czwartki i soboty)
M. Kęcki — 5.00 do 6.00

W NIEDZIELE:
K. Jarzębowski — 2.00 do 3-ej pp.
Wiadomości — 3.00 do 3.15
N. Leśniewska — 3.45 do 4.00
M. Kęcki — 3.15 do 5.00
Ojciec Justyn — 5.00 do 6.00
H. Cieciuch — 6.00 do 7ej.

Programami polskimi kieruje dyrektor Karol Sobolewski

DO CZYTELNIKÓW:
Załączając okazowy numer "Tygodnika Polskiego", prosimy Sz. P., jeżeli pragnie zaabonować nasze pismo, o łaskawe wypełnienie poniższej deklaracji i przesłanie jej pod adresem: "Polish Weekly", 806 Lexington Ave., New York.

Niżej podpisany zgłasza mies., kwartalną, półroczną, roczną prenumeratę "Tygodnika Polskiego".

Należność w wysokości .... załączam czekiem, przekazem pocztowym

Dnia ....

....
Imię i nazwisko (wyraźnie)

....
Ulica

....
Miasto i Stan.

TYGODNIK POLSKI
POLISH WEEKLY
Redakcja i administracja: 806 Lexington Ave., New York City
Tel.: Regent: 7-4168
Wydawcy: Koło Pisarzy z Polski, Association of Writers from Poland.
Komitet redakcyjny: Zenon Kosidowski, Jan Lechoń, Kazimierz Wierzyński, Józef Wittlin.
Prenumerata: mies. 40 cts — kwart. $1.20 — półr. $2.40 — roczn. $4.50.
W sprawie ogłoszeń prosimy porozumieć się z administracją.